

BP JAN CHRYZOSTOM JANISZEWSKI

FESTYNY LUTERSKIE W NIEMCZECH

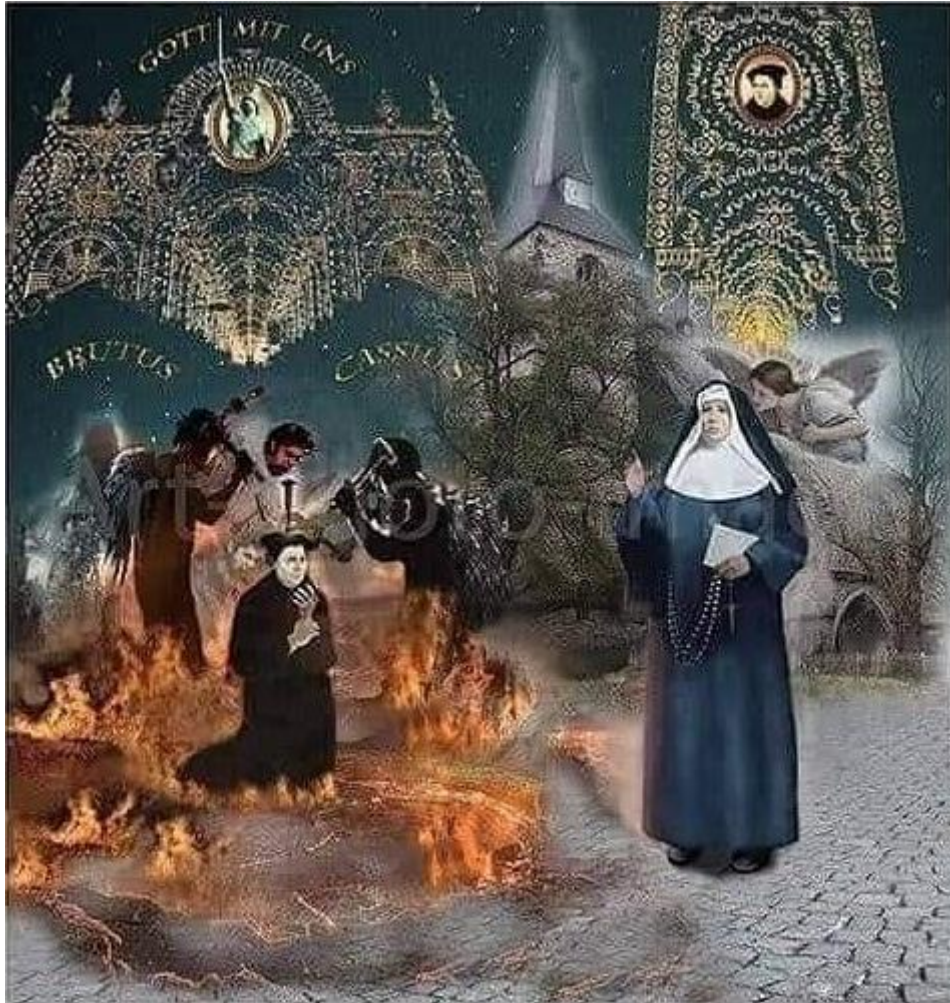


Caricatura di Lutero e Caterina Bora.

Originale nella Biblioteca Pubblica di Berlino.

KRAKÓW 2023

www.ultramontes.pl



Herezjarcha Marcin Luter w piekle według wizji siostry Marii Serafiny Micheli z 1883 r.

Festyny luterskie w Niemczech

BP JAN CHRZYSTOM JANISZEWSKI

Już przeszło rok temu rzucono pomysł uroczystego obchodzenia w minionym roku w Niemczech czterowiekowej rocznicy urodzin Marcina Lutra, "wielkiego reformatora Kościoła". Mniejsza o to, że rok jego urodzenia nie jest historycznie zupełnie pewnym. Epoka nasza jubileuszów takie drobnostki pomija i słusznie; nie chodzi tu bowiem o ścisłość badań historycznych, ale raczej o manifestację i jej cel. Kto pierwszy myśl tę podał, co było do tego powodem, nie wiadomo; z przygotowań jednak i przebiegu tych obchodów nietrudno będzie odgadnąć tendencje i przyczyny tych ruchów hałaśnych.

Niewątpliwie nie urządzono ich dla czezej igraszki; ci co je wywołali i w nich przewodzili, mieli swój cel. Czy i kto go osiągnął, pokażą skutki. Objawy powszechnego usposobienia w pochodach, kostiumach, a szczególnie w przemowach z okoliczności tych festynów wygłoszonych, są tak różnorodne, tak często z sobą niezgodne, a nawet sprzeczne, że ich niepodobna zrozumieć bez jakiegokolwiek znajomości obecnego stanu protestantyzmu w Niemczech, a mianowicie w Prusach. Z tej przyczyny robimy tu kilka uwag nad tym przedmiotem.

I.

Nie zapuszczając się w rozbiór i przedstawienie pierwiastkowej nauki Marcina Lutra, Zwinglego, Kalwina i w ogóle poprzednich i współczesnych mniemanych reformatorów, ani ich różnic dzielących ich tak od Kościoła katolickiego, jak nawzajem od siebie, trzymamy się tylko głównej zasady, na której wszyscy bez wyjątku w stosunku do Kościoła katolickiego się opierali i dotychczas stoją. Tym wspólnym fundamentem wszystkich jest zaprzeczenie *żyjącej w Kościele katolickim nieomyślnej powagi Boskiej w rzeczach nauki wiary i obyczajów*. Jest to wprowadzie zasada ujemna, ale jedyna, jaka jest wspólna wszystkim protestantom bez wyjątku. O "kościelu ewangelickim", jak tego wyrazu używają oficjalnie rządy, konstytucje, konsystorze protestanckie itp. mówić w ścisłym znaczeniu tego wyrazu nie można, bo z tego, co powszechnie przez wyraz "Kościół" rozumiemy, nie pozostało nic prócz nazwy. Zresztą musielibyśmy o dwustu przynajmniej mówić kościołach, gdyż na tyle sekt już jest rozbitý ten mniemany kościół. Lecz na tym jeszcze nie koniec, bo każdy niemal dzień nowe przynosi zdania, nowe pomysły, jednym słowem, *quot capita, tot sensus* (co głowa, to zdanie czyli sekta). Co więcej, są pomiędzy nimi i takie sekty, które Ewangelii za objawione słowo Boże nie uznają, jakże je tedy nazywać, kościołem ewangelickim? Z tej przyczyny nie używamy wyrazu: "kościół ewangelicki", którego w rzeczy samej nie masz, ale wyrazu: *protestantyzm*. To bowiem wyrażenie obejmuje wszystko, obejmuje wyznania luterskie, kalwińskie i inne sformułowane w XVI i XVII wieku i później, o ile jeszcze istnieją, a nadto wszystkie odnogi, odłamki i drobne kawałki, na jakie się główne grupy w wieku XVI od Kościoła oderwane rozpadły; co więcej, obejmuje wszystkie stowarzyszenia religijne, a w rzeczy samej niereligijne, jakie się z tego odłamu potworzyły, począwszy od Lutra aż do Hegla, Straussa, Bauera, Hartmanna itd. Wszystko to są dzieci jednej matki, wszyscy się do niej przyznają, wszyscy bowiem począwszy od tych, którzy jeszcze przechowali

wiarę w nadprzyrodzone objawienie Boskie i w Chrystusa Pana, jako Syna Bożego, aż do ostatnich liberałów w nic, w Boga nawet nie wierzących, liczą się oficjalnie i nieoficjonalnie do protestantów. Żaden z ostatniej kategorii nie przyznaje się, ani do wyznania lutereckiego i kalwińskiego, ani do żadnego innego, przeciwnie uważa je za niedorzeczne przesady i drwi sobie z nich, ale każdy protestantem się zowie i w rzeczy samej nim jest. Jakże tedy nazwać ewangelikiem czyli członkiem "kościół ewangelickiego" człowieka, który nie już w księgach nie każdemu dostępnych, ale jawnie z trybuny parlamentarnej, jak Virchow, Ewangelię księgą mitologii chrześcijańskiej zowie? Jakże ktoś być może ewangelikiem bez Ewangelii, a nawet przeciw Ewangelii? Nikt wymagać tego po nas nie może, abyśmy się w takiej sprzeczności wikłali. Lecz, gdybyśmy to nawet chcieli uczynić i nazwać ich "ewangelikami", to nam się znowu nowe narzuca pytanie: jakimi? Czy lutereckimi, czy kalwińskimi, czy jeszcze innymi, kiedy wyznań jest wiele, a każde się być mieni ewangelickim, każde utrzymuje, że czystą i żadnymi dodatkami nieskażoną posiada Ewangelię? Nie masz zatem innego środka; aby przyjść do ładu, musimy ująć to, co wszystkim jest wspólne, a tym węzłem, który wszystkich bez wyjątku w jedną spaja całość jest: *negacja* Kościoła katolickiego. Wyraz zatem: protestantyzm jest najwłaściwszy, bo obejmuje całość wszystkich od Kościoła katolickiego w XVI wieku oderwanych sekt pod ogólną nazwą "reformacji".

Cały ten protestantyzm w Niemczech, a szczególnie w Prusach, które jak we wszystkim innym tak i w rzeczach religii ton nadawały i nadają, rozpada się na dwa główne obozy, tj. na prawowiernych (ortodoksów), którzy się jeszcze jakiegokolwiek wyznania trzymają czy augsburskiego, czy helweckiego, czy wreszcie tylko Składu Apostolskiego (*Apostolicum*), jednym słowem, którzy jakiegokolwiek prawidło wiary (*regulam fidei*) uznają; i na liberałów, którzy się z wszelkich wyznań, z wszelkiego prawidła wiary otrząsnęli i sami sobie są prawidłem i regułą wiary. Pierwszych reprezentują rządy, w Prusach najwyższa rada kościelna (*Oberkirchenrath*), konsystorze, a szczególnie predykanci nadworni (*Hofprediger*), jak znany antysemita Stoecker, Baur, Koegel i inni, tudzież niektórzy predykanci po prowincjach. Ostatnich tj. liberałów reprezentuje głównie "Stowarzyszenie protestanckie" (*Protestantenverein*). "Prawowierni" rozpadają się znowu na różne stronnictwa i odcienia. Jedni bowiem trzymają się jeszcze wyznania augsburskiego (*Altlutheraner*), liczba ich bardzo mała, drudzy helweckiego (*Reformirte*), inni "Unii" tj. połączenia obydwóch co dopiero wymienionych wyznań, niektórzy zaś tylko Składu Apostolskiego (*Symbolum Apostolicum*), ale wszyscy przyjmują Biblię czyli

Pismo św. za podstawę i źródło nauki objawionej, wierzą w Bóstwo Chrystusa Pana i przyjmują dzieło Odkupienia, a z nim wszystkie konsekwencje.

Dla zrozumienia rzeczy wypada nam tu nadmienić, że tak nazwana "Unia" jest dziełem Fryderyka Wilhelma III z r. 1817, który pragnąc w swoich krajach sprowadzić protestantów do jednego mianownika, połączył luteranizm z kalwinizmem i w r. 1823 wspólną dla nich wydał agendę, której się każdy predykant pruski przy sprawowaniu aktów ministerialnych obowiązany jest trzymać. Połączyć dwie tak z sobą sprzeczne nauki, jak luterska i kalwińska i oparte na nich wyznania, jest rzeczą niepodobną, chyba że jedna i druga strona do swego wyznania żadnej nie przywiązuje wagi, czyli że jest w rzeczach religii obojętną. Stało się to przecież, a mdłą opozycję stłumił rząd w krótkim czasie. Kilku tylko twardych predykantów luterskich padło tej unii ofiarą i wyniosło się do Ameryki, a unia odniosła zwycięstwo i stała się podstawą tak nazwanego urzędownie "kościół krajowego pruskiego" (*preussische Landeskirche*), w którym król jest najwyższym biskupem (*summus episcopus*). Wyznawcy tej unii liczą się do "ortodoksów", bo się do jakiegośkolwiek prawidła wiary przyznają i Biblię za podstawę przyjmują.

Liberalne zaś stronnictwo odrzuca, jakeśmy to wyżej już powiedzieli, wszelkie prawidła wiary wraz z Składem Apostolskim czyli "Credo", a trzymając się głównej zasady wypowiedzianej i przeprowadzonej przez Lutra, mocą której potargał prawidła wiary od 1500 lat istniejące i do dziś żyjące, utrzymują, że ani on nie miał ani po nim nikt nie ma prawa narzucać im nowych więzów i przepisywać, w co mają wierzyć, bo to jest sprawą ich wiedzy i sumienia; że przez Lutra pozbyli się jednego papieża i nie chcą mieć w osobach królów, książąt, ich konsystorzy itd. tysiąca papieżątek (*Päpstein*). Ta wolność jest jedyną zdobyczą i zasługą Lutra, reszta blichтром, a raczej niedorzecznością. To najliczniejsze pomiędzy protestantami stronnictwo dzieli się podobnie, jak "ortodoksów" na niezliczone kierunki i odcienia aż do zupełnego ateizmu i materializmu. Nadmieniliśmy już wyżej, że głównym przedstawicielem tego kierunku jest "stowarzyszenie protestanckie". Nazwa i zasada są z sobą w zupełnej zgodzie, bo w rzeczy samej protestują przeciw wszystkiemu, przeciw wszelkiej objawionej i danej religii, każdy to tylko uznaje i wyznaje, co sam wynalazł i wymyślił. Wymienione co dopiero stowarzyszenie wraz z całym stronnictwem stoi pod dyktando masonii pruskiej albo niemieckiej, najwyżsi dostojnicy ostatniej są najprzedniejszymi jego przywódcami.

Te dwa główne obozy "ortodoksów" i nieortodoksów, wierzących i mało albo nic nie wierzących, konserwatywnych i liberalnych, prawicy i lewicy, bo i te parlamentarne przybierają nazwy, wiodą z sobą bój zacięty na śmierć i życie. Nie mniej i w każdym z osobna obozie staczają z sobą rozmaite stronnictwa bezustanne utarczki; i nic dziwnego, bo wszystkie pozbawiwszy się Boskiej i nieomyślnej powagi, opierają się na ludzkiej, a zatem chwiejnej powadze, każde zatem zdanie, każda opinia równe ma prawo, równe znaczenie, nie masz dla nich najwyższego sędziego, któryby zdołał stanowczo orzec, co jest prawdą, a co fałszem. Jest to zatem ustawiczna wojna wszystkich przeciw wszystkim. Położenie "ortodoksów" jest w tej walce nieznośnym, bo cała ich egzystencja opiera się na najoczywistszej sprzeczności. Luter sam łatwo się z tej matni wydobył, oświadczając: "że rozum jest nierządnicą diabelską i w rzeczach religii nie ma nic do mówienia". Ale rozum niedługo pozwolił się tak deptać i dopominając się praw swoich, roztoczył jak robak w krótkim czasie dzieło swego gwałciciela i poniewiercy i spustoszenie swoje rozszerzył dalej, niż się zwolennikom tak nazwanej reformacji marzyć mogło. Z tego, co Luter zbudował, nie został kamień na kamieniu. Cała jego nauka, z której wszystko inne wynikało, zawiera się w dwóch zdaniach: słowo Boże, czyli Pismo św. jest *jedyną* i najwyższą powagą w rzeczach religii – każdy je sobie podług swego natchnienia tłumaczy; usprawiedliwienie, a następnie zbawienie człowieka wieczne zawisło *li tylko od wiary*, a dobre uczynki są same z siebie grzechem. Człowiek bowiem, któremu Luter odmówił wolności woli, a nawet zdolności wolnego wyboru, jest, mówiąc jego własnymi słowy, "osłem, na którego gdy wsiedzie Bóg, zawiezie go do nieba, a gdy wsiedzie diabeł, zawiezie go do piekła". Książka jego *de servo hominis arbitrio*, która i drwinkującemu sobie z rzeczy świętych Erazmowi Rotterdamczykowi humor zepsuła, prócz wielu innych niezliczonych miejsc po jego pismach rozrzuconych, wypowiada z całą jemu właściwą drastycznością tę straszliwą zasadę. W koniecznym następstwie tej nauki musiał Bóg zostać sprawcą złego, grzechu, a człowiek zwolnionym od wszelkiej odpowiedzialności za swe uczynki. I to nazwano "wolnością chrześcijańską". W imię tej "wolności" podnieśli się w Niemczech chłopcy i straszliwy rozlew krwi zrzędzili. Iluż się dziś jeszcze znajdzie luteranów nawet pomiędzy "ortodoksami", którzy się na serio do tej nauki przyznają? Jakże obronić taką zasadę wobec umiejętności, a nawet wobec zdrowego, prostego rozumu i wewnętrznego doświadczenia?



A cóż się stało z jedynym i najwyższym sędzią w rzeczach wiary tj. z Biblią? Pomijając teologów katolickich, którzy zupełną bezskuteczność takiego sędziego wykazywali, z pomiędzy wielu nowszych klasycznych autorów niemieckich, odwołując się tylko na Wielanda, który oceniając z praktycznego jedynie stanowiska ten przedmiot, dowodzi, że po odrzuceniu tradycji i wszelkiej żywej powagi nieomyłnej Kościoła, Soborów, Papieża i Ojców Kościoła pozostała tylko ta niema i martwa powaga Biblii, która wkrótce swoją zupełną okazała niemoc i mówi dalej: "Dostyc na tym, rychlej czy później musiano się spostrzec, że książka, chociażby była nieomylną i boską, w takim tylko razie mogłaby być najwyższym sędzią w rzeczach wiary, gdyby podobnie jak początki geometrii, taką miała własność, że wszyscy ludzie, którzy by ją czytali i rozumieli, nie tylko jednej pozostali myśli przy jej czytaniu, ale nadto o prawdzie jej treści każdemu zarówno zrozumiałej i różnemu nie ulegającej tłumaczeniu tak byli pewno i głęboko przekonani, żeby im całkiem niepodobnym było o niej wątpić lub o znaczeniu i tłumaczeniu tego lub owego miejsca innego być zdania. Czy książka taka jest możliwą, na to pytanie nie odpowiadam; ale tego z pewnością nikt nie będzie śmiał zaprzeczyć, że Biblia taką książką nie jest" (*Vermischte Aufsätze*, t. 29, str. 113). Ciekawa w tej mierze jest polemika Lessinga z głównym pastorem Hamburga, w której broniąc zwycięsko tez swoich, dowodzi logicznie i historycznie niedorzeczności tej zasady i wreszcie powiada: "Gdybyście tego mieli dokazać, żeby nasi luterscy pastoresy mieli naszymi zostać papieżami, żeby nam przepisywać mieli granicę, na której nasze badania Pisma św. zatrzymać się mają, natenczas pierwszym będę, który te papieżątka odda za papieża" (Lessing, *Sämtliche Werke*. Berlin

1825, t. VI, str. 113). Lecz mniejsza o praktyczne trudności i niepodobieństwa, na to znaleźliby "ortodoksi" tysiączne tłumaczenia i wybiegi, jak osobista inspiracja itp. Trudniejsza jest ich pozycja wobec nauki i nieubłaganej logiki. Tu nie masz żadnego wyjścia, najmniejszej nawet furtki z tej sprzeczności! Tu tylko gwałtem depcącym wszelkie prawa zdrowego rozumu na takiej pozycji utrzymać się można powtarzając razem z Lutrem: *sic volo, sic jubeo, stet pro ratione voluntas*. I tak w rzeczy samej do dziś dnia jest. Wytykano tę sprzeczność reformatorom od samego początku ze strony katolickiej, ale na głos katolików były i są do dziś dnia uszy głuche. Nadeszła już od dawna chwila, kiedy katolików wyręczają w tej pracy sami protestanci, którzy nie tylko z praktycznego, ale także i z umiętnego stanowiska najoczywiściej dowodzą, że wobec światła rozumu nauka "ortodoksów" na Biblii i wyznaniach oparta ostać się nie jest w stanie. Najsilniej Hegel w swej filozofii religii ten fałszywy fundament podważył. Z pomiędzy innych rozlicznych tego rodzaju wywodów ośmielam się w tej materii przytoczyć słowa jednego z najnowszych, Edwarda Hartmanna, autora "Filozofii nieświadomego" (*Die Philosophie des Unbewussten*), który mówi: "Reformatorowie nie spostrzegli się wcale, że ich wiara w nieomylność pism kanonicznych, którą z mlekiem matek wyskali, jedynie na wierze w nieomylność Kościoła dającego o nich to świadectwo i na tradycji kościelnej spoczywała, a ponieważ ich wiara w nieomylność Pisma św. przeszła każdemu z nich w ciało i krew, przeto na myśl im nawet nie przyszło, że protestując przeciw nieomylności Kościoła i tradycji, podkopali grunt własnej wiary, że tym krokiem pierwszy kamień z szczelnej budowy Kościoła wyłamali, za którym pod wpływem czasu kamień po kamieniu odrywać się i spadać musiał. Z jednej strony wywiesili chorągiew swobodnego badania i wolności sumienia, a z drugiej mniemali, że puszczonemu prądowi dezorganizacji dogmatu przez dowolnie postawione zapory, przez ustawy ludzkie ich własnego wymysłu i przez odkazywanie się resztką dogmatyczną, tamę położyć zdołają, rojąc sobie, że ludzie pod takie dowolne ustawy, jak gdyby pod jakie nieugięte jarzmo karki swoje uchylą, kiedy już nieomylna na żywej i nieustannej inspiracji spoczywająca powaga Kościoła poszła w rozsypkę" (*Die Selbstersetzung des Christenthums*, str. 9).

Ta oczywista i rażąca sprzeczność, która w następstwie rozliczne inne sprzeczności za sobą pociąga, jest jedynym fundamentem, na którym się "ortodoksja" protestancka dotychczas opiera, i dlatego taka bezwładna i słaba. Z Biblią w ręku protestują przeciw żywej i ciągle obecnej powadze boskiej Kościoła i wszelkim prawidłom wiary, a mimo to czują się jednak sami

zmuszeni do ścisłego sformułowania wyznania czyli prawideł wiary, z tą tylko różnicą, że zamiast jednej nieomyłnej, mają ich wiele bez pewności, czy w nich zawiera się istotnie prawda! Lecz jakież te wyznania, czyli *regulae fidei* wobec protestanckiej zasady swobodnego badania mogą mieć znaczenie, jaką powagę? Otóż nie inną, jak ludzkiego zdania, przekonania, nie są zatem nieomyłne, nie roszczą sobie nawet pretensji do nieomyłności. A jednak mimo to wymagają konsystorze królewskie, książęce itd. od predykantów, którym udzielają posady duchowne lub tylko na nie potwierdzają, przysięgi, że się w naukach, sprawowaniu sakramentów i innych aktów ministerialnych tego lub owego wyznania, jako prawidła wiary trzymać się będą. Tu nie jest od rzeczy zapytać się, czy wymaganie i odbieranie takiej przysięgi może być moralnie dozwolonym? Z drugiej strony, z jakim sumieniem może młody kandydat teologii składać tego rodzaju przysięgę, jeśli sam nie ma żadnej pewności, czy prawdy, które się pod przysięgą z ambony i w szkole ogłaszać zobowiązuje, są w rzeczy samej prawdami przez Boga objawionymi, a zatem nieomyłnymi; czy sakramenty, które w ten, a nie inny sposób ma sprawować, są nimi rzeczywiście lub nie? Z obu tedy stron jest rzeczą nader wątpliwą, czy to samo zobowiązanie jest moralnie godziwym. Nic przeto dziwnego, że już od dawna pojawiły się w tej mierze spory. Jedni z predykantów utrzymywali, że dlatego tę przysięgę złożyli, ponieważ (*quia*) podług ich przekonania to właśnie wyznanie zgadza się z Biblią, inni zaś twierdzili, że o tyle tylko zobowiązali się trzymać tego wyznania, o ile (*quatenus*) podług ich zdania zgodne jest z Biblią. Lecz cóż się na tej różnicy zyska? Czyż tak w pierwszym jak w drugim razie nie rozstrzyga ostatecznie o najwyższych prawdach zbawienia przekonanie tylko indywidualne? Czyż wierni mogą mieć tę pewność, że odbierają naukę o prawdach objawionych w sposób niewątpliwy i pewny, jeśli to zawisło jedynie od przekonania indywidualnego predykanta, a nie od prawdy przedmiotowej ponad wszelką wątpliwość wyniesionej? Jakim prawem mogli i mogą protestanckie konsystorze, ministrowie kultu itd. pociągać tych predykantów do odpowiedzialności, jeżeli pomimo przysięgi nie trzymają się przepisów wyznania, odwołują się tak, jak Luter niegdyś wbrew nauce całego powszechnego Kościoła, na Biblię i oświadczają, że w Piśmie św. tej nauki, jaką im przepisane wyznanie do wierzenia podaje, wcale nie znajdują, ale raczej wręcz coś przeciwnego? Skąd królewski konsystorz, skąd minister kultu, który podług prawa mógłby być żydem, ma upoważnienie do nakazania mu, aby tak wierzył i nauczał, tak rozumiał Pismo św. jak je rozumie konsystorz lub minister, a zwłaszcza, jeśli udowodni, że ich właśnie zdanie mylne, fałszywe? A

czyż o dowody trudno? Czyż Ariusz, Pelagiusz, Wiclef, Hus, Luter, Zwingli, iż tylko więcej znanych wymienię, i wszyscy inni heretycy nie dowodzili swej przewrotnej nauki w ten sam sposób? Cóż tu w takim położeniu robić? Mają królewskie władze duchowne protestanckie, mają ministrowie kultu, którzy *mutatis mutandis* są swoich królów i książąt wikariuszami jeneralnymi, gdyż panujący piastują rzeczywiście najwyższą władzę duchowną nad ludami protestanckimi swych krajów, mają mówię, patrzeć obojętnym okiem na predykantów i ze skarbu publicznego utrzymywać tych, którzy w kościele i szkole podkopują wszystkie artykuły wiary chrześcijańskiej jako to: wiarę w Trójcę Przenajświętszą, Bóstwo Chrystusa Pana, Jego Zmartwychwstanie itd. itd.? Dopóki imię chrześcijańskie na sobie noszą, nie wypada im na takich ministrów "słowa Bożego" przez szpary patrzeć, a chociaż to, o ile tylko możebnym jest, czynią, to jednak wydarzają się często przypadki tak uderzające, tak obrażające uczucia chrześcijańskie, że wobec parafian i potężnego głosu wierzących jeszcze protestantów milczeć nie mogą. Skoro tedy tego lub owego predykanta tego rodzaju pociągną do odpowiedzialności, a co więcej, jeśli go skarżą, co się nader rzadko zdarza i nader łagodnie wykonywa, natenczas podnosi się krzyk na całej linii liberalnej: "oto mamy inkwizycję", "sądy kacerskie", "kłątwy papieskie", "gwałt sumienia" i któżby resztę tych dosadnych i stereotypowych wyrażen wyliczył! Cała prasa liberalna polityczna, a szczególnie żydowska wtóruje tym okrzykom z całej siły, wynosi oskarżonych do czci męczenników wolności i spisuje pilnie ich martyrologie. Z każdym prawie rokiem wzrasta na tym polu w liczbę i potęgę liberalizm, nic przeto dziwnego, że podług zdania jednego z nich, ostatnie trzynastolecie więcej w Niemczech, a szczególnie w Prusach przyniosło "procesów kacerskich", niż całe upłynione stulecie. Ponieważ nazwiska tych bohaterów niewiary często się po dziennikach kręca, przeto wymieniamy niektóre: Topf, Hanne, Schröder, Sydow, Lisco, Klapp, Hossbach, Lühr i w. i.

Pojmujemy i cieszymy się z tego, że protestancka zwierzchność kościelna w jakimkolwiek znajduje się dziś ręku, przeszkadza szerzeniu antychryścianizmu z urzędu tj. z ambony i w szkole; ale tego zaprzeczyć nie możemy, że to czyni tylko prawem mocniejszego, że tym zadaje sama gwałt najistotniejszej zasadzie formalnej protestantyzmu i podcina tę gałąź, na której sama siedzi. Formalnie zatem nie możemy obwinionym konsekwencji i słuszności odmówić, jeśli opierając się na głównej zasadzie protestanckiej, podnoszą krzyk na to postępowanie niekonsekwentne i razem z Bluntschlim utrzymują, "że są prawowitymi dziećmi i synami należącymi do domu

protestanckiego". Tą sprzecznością żył i karmił się protestantyzm przez trzysta i kilkadziesiąt lat i to głównie w narodzie myślicieli. Jest to niełatwa zagadka dla tych, którzy nie wierzą. Nie tu jest miejsce do zajęcia się nią, a nawet do wytłumaczenia tylko tej okoliczności, dlaczego dawniej te "procesy kacerskie" nie powtarzały się tak często, jak teraz. Lecz to jest pewną, że żadne dowody choćby najściślejsze, najdoskonalsze, tak jasno, tak oczywiście, tak dobitnie wykazać tego błędnego koła, w którym się prawowierny protestantyzm obraca, nie są w stanie, jak właśnie praktyczne tego rodzaju wypadki. Czynią bowiem w zasadzie to samo, za co innych ścigają. A jednak ci nawet protestanci, którzy szczerze wierzą i czczą w Chrystusie Panu Syna Bożego i gorzko ubolewają nad tym, co się u nich dzieje, nie mogą czy nie chcą znaleźć drogi wyjścia z owego zakłętą koła błędu. Ludzie znakomici nauką i rozumem, którzy najzawilsze i najtrudniejsze przedmioty na polu innych umiejętności rozumieją, nie widzą tu tego oczywistego błędu, który się najprostszemu umysłowi sam narzuca. Straszna to potęga ciemności! Straszna siła herezji! Jakaż tego niepojętego zjawiska przyczyna? Czy brak jasnego pojęcia i zrozumienia? Zdaje się prawie niepodobnym w tak oświeconych umysłach. Czy brak czystości intencji i dobrej wiary? Trudno to w szlachetnych i religijnych duszach przypuścić. Czy zakorzenione uprzedzenia, głęboki wstręt i stąd powzięta zaciętość? Niewątpliwie i te mają przeważny udział w utrzymaniu tego zaślepienia. Czy nareszcie fałszywy wstyd i obawa dotkliwego upokorzenia? Fryderyk Perthes, jeden ze znakomitych protestantów, przypisuje wielki wpływ ostatniemu pytaniu, kiedy mówi: "Pismo św. potrzebuje opieki przeciw swawoli ludzkiej, a obok tego tłumacza. Instytucją, która tę podwójną potrzebę zaspokoić powinna, jest Kościół, ale gdzie jest, kto go ma?... Gdybyśmy się nie wstydzili, gdybyśmy się nie obawiali Kościoła katolickiego, jakże głośne, jak rozpaczliwe usłyszelibyśmy wołania wierzących protestantów o pomoc i powagę Kościoła!" (*Kirche oder Protestantismus*, str. 314).

Mimo potęgi materialnej, jaką kościelna zwierzchność protestancka rozporządza, bo sama jest integralną częścią rządu i ma wszystko na swoje rozkazy, okazuje się jednak wobec liberalnych i konsekwentnych predykantów słabą i całkiem bezwładną. Począwszy od sprawy Sydowa w r. 1872 aż do ostatnich Hannego i Luehra, wszystkie kończyły się pewnym rodzajem kompromisu. Najpierw wlekły się te sprawy po kilka lat, a kiedy już o nich prawie zapomniano i krzyki prasy liberalnej ucichły, wyszedł wyrok ostatniej instancji, którą dla dawniejszych prowincyj państwa pruskiego jest najwyższa rada kościelna (*Oberkirchenrath*), a dla nowo nabytych minister kultu. Zwykle

ostatnia instancja albo całkiem wyrok konsystorski znosiła albo go do tego stopnia łagodziła, że się takiej kary jak np. "nagany", "przestrogi", "zalecenia większej ostrożności" na przyszłość nikt nie miał powodu obawiać. Sydow np. został przez konsystorz brandenburski złożony z swej posady za to, że zaprzeczył Bóstwa Chrystusa Pana, a przez najwyższą radę kościelną uwolniony z tego powodu, że to uczynił "nie urzędownie, nie z ambony", ale w rozprawie drukowanej i publikowanej, a zatem nie w trybie swego urzędowania duchownego. Hanne, który urzędownie, z ambony mówił przeciw Trójcy Przenajświętszej, a następnie i przeciw Bóstwu Chrystusa Pana, dostał od rady hamburskiej upomnienie, "aby na przyszłość więcej zachował ostrożności". Podobnie w roku bieżącym skasował minister kultu Gossler wyrok konsystorza kielskiego orzekający za ten sam występek złożenie z posady predykanta Luehra i dał mu tylko naganę z powodu "że się dotychczas dobrze prowadził" i po raz pierwszy nauki kościoła naruszył. Nigdy i nigdzie nie występuje protestancka zwierzchność kościelna stanowczo w obronie nauki kościoła czyli wyznania i czepia się rzeczy ubocznej, jak gdyby sama czuła, że nie ma pod nogami pewnego fundamentu, że nie ma do tego prawa. Takie wyroki słusznie obie strony oburzały. "Prawowierni" słusznie się żalili, że takie wyroki uzuchwalają predykantów bez wiary i otwierają niedowiarstwu i bezbożności na rozcież wrota "kościół ewangelickiego", w którym odtąd nie tylko "słowo Boże", ale także i nauki i zasady pogańskie wolno ogłaszać. Liberalni zaś podnieśli głos przeciw gwałceniu zasad protestanckich, "reakcji", "romanizowania", "tłumienia wolności myśli, sumienia" itp. Czyż w rzeczy samej obie strony każda ze swego stanowiska nie miały i nie mają racji? Cóż sądzić o takiej władzy kościelnej, która ma wprawdzie potęgę materialną, ale w braku siły moralnej nie śmie jej użyć, nie śmie brać w obronę swoich wiernych i chronić od zatrucia religijnego i moralnego? Czyż tu nie czuć wyraźnie braku upoważnienia z góry do wyrokowania w rzeczach wiary? Ten właśnie cichy i nieśmiały głos sumienia, który szepce tej zwierzchności kościelnej, że nie jest w istocie tym, czym się na zewnątrz być mieni, że to władza uzurpowana, a zatem bez wagi i znaczenia, pozbawia ją wszelkiego zaufania do siebie, wiary w dobroć sprawy, a tym samym siły i mocy.

Jest to jedna dopiero słaba strona "ortodoksów", która sama jedna wystarcza, aby ich stanowisko na przyszłość podkopać i niemożliwym uczynić. Prócz tego mają jeszcze wiele innych nie mniejszej wagi kłopotów. Jak od samego początku, tak szczególnie w bieżącym stuleciu powstały w własnym ich łonie liczne i rozmaite niezgody i rozterki. Jak z liberałami, tak nie mniej

między sobą wadzą się i kłócą bezustannie. "Unia" z r. 1817 łącząca pozornie dwa w niektórych punktach całkiem sprzeczne z sobą wyznania, luterskie i kalwińskie, na papierze je pogodziła, ale w rzeczy samej nie, bo prawowierni luteranie pozostali luteranami, a kalwini kalwinami, unię zaś samą przyjęli na serio ci tylko, którzy w rzeczach religii byli obojętni. Nic zatem dziwnego, że te rozmaite kierunki wyznaniowe z sobą się ścierają, a zwłaszcza od czasu, kiedy Hanower i Schleswig, gdzie luterskie wyznanie przeważa, do Prus przyłączone zostały. Jedni z nich trzymają się jeszcze wyznania augsburskiego, inni reformowanego czyli kalwińskiego, znaczna liczba przyznaje się do "Unii", a pewno największa mała się troszczy o wyznania i trzyma się li tylko Składu Apostolskiego. Nadworni nawet predykanci, którzy ton nadają, porzucili już pojedyncze wyznanie i ograniczyli się na obronę Składu Apostolskiego. Ci zaś, którzy jeszcze pozostali wiernymi swym wyznaniom, a tych mała tylko garstka, oburzają się na tę słabość w obawie, że ich własni zwolennicy z czasem resztę nauki chrześcijańskiej uronią. Jakoż gdy w synodzie jednego okręgu berlińskiego (Berlin-Coeln), do którego należy tum i predykanci nadworni, zrobiono wniosek o uchylenie z agendy Składu Apostolskiego przy sprawowaniu sakramentów i innych obrządków kościelnych, aby nie zmuszano tym sposobem do odmawiania go tych, którzy w treść jego nie wierzą, jak np. ojców chrzestnych itp., predykanci nadworni zamiast bronić do upadłego tej resztki wiary chrześcijańskiej, zrobili wniosek omijający walkę i odraczający rzecz do wspólnego się zebrania synodów okręgowych Berlina i decyzji zwierzchności kościelnej. Działo się to w roku 1878. Rzecz ta musiała w samym Berlinie zaniepokoić umysły obawą, że przyjdzie do zupełnego rozdwojenia, gdyż predykanci nadworni uczuli potrzebę wydania listu pasterskiego do tegoż okręgu. Pośród innych, dla nas katolików niepojętymi dziwactwami, znajdują się w tym piśmie słowa pociechy dla tych szczególnie, którzy się rozdwojenia obawiali. "Nie dopuszczajcie zwątpienia – mówią autorowie tego głosu pasterskiego – nie dajcie wmówić w siebie, jakobyśmy lub kto inny mieli zamiar, wszystkich słabych i na pół wierzących, a nawet samych niewierzących tylko z łona kościoła naszego wykluczyć. Kto wam to mówi, to nie wie, co mówi, a jeśli wie, to się dopuszcza oszczerstwa. My rozróżniamy pomiędzy członkami a przywódcami kościoła. Nikogo nie przymuszamy do wystąpienia, dopóki go miłość do naszego drogiego kościoła ewangelickiego ożywia i trzyma; przeciwników nawet kościoła nie oddalamy". (Wyjęte z *Westermayer, Luther's Werk im Jahre 1883*). A zatem luteranie i kalwini, kwakry i mormony itd., wierni i niewierni mogą być członkami tego prawowiernego kościoła

ewangelickiego, dopóki tylko sami w nim zechcą pozostać. Tu się już żółci ułalo starym luteranom, takiego chaosu w wierze już znieść nie mogli i wystąpili ostro przeciw tej połowicznej ortodoksji predykantów nadwornych. Szczególnie pastor luterski Schüler zaczepia nielitościwie tę pruską ortodoksję unii w ciekawej książce noszącej tytuł: "Znamiona śmierci na krajowym kościele Prus" (*Todeszeichen an der preussischen Landeskirche*. Leipzig 1878). Wyliczywszy im wiele ciężkich grzechów przeciw ortodoksji popełnionych, powiada nareszcie: "w rzeczy samej któż może te wszystkie środki, jakimi pruscy predykanci nadworni ich kościołowi w godzinie jego śmierci pomoc przynoszą, bez wstydu, bez bólu, ale także bez oburzenia czytać?". W samym gronie predykantów nadwornych nie masz zgody. Podczas, gdy p. Stoecker szuka dla kościoła ewangelickiego pewnej konstytucji i stałej powagi, jak niegdyś Stahl – własny jego kolega Baur powiada: "Podług naszego przekonania kościół spoczywa na gminie: gmina decyduje o jego konstytucji, gmina wybiera sobie duchownych, gmina orzeka o wyznaniu wiary tak, iż kościół protestancki jest wyrazem woli protestanckiej ludu" (Westermayer, l. c., str. 101). Dokądże taka teoria w następstwie logicznym koniecznie prowadzi? Jeśli gmina wydała z siebie w sposób naturalny naukę chrześcijańską, jej głosiciele czyli kapłanów i biskupów, musiała także koniecznie wydać z siebie i Apostołów, a następnie i tego, w którego imieniu apostołowali tj. Chrystusa. Nauka zatem chrześcijańska nie jest nauką objawioną, nieomylną i niezmienną, ale utworem ludzkim, wymysłem rozumu i wyobraźni, a Chrystus nie Synem Bożym, ale zwyczajnym śmiertelnikiem. To są konsekwencje marzeń o kościołach ludowych, narodowych. Pomiędzy samymi ortodoksjami takie fundamentalne zachodzą różnice.

Tak nazwani reformatorowie XVI-go wieku odrzuciwszy hierarchię kościelną z ustanowienia Boskiego pochodzącą, nie mogli jej także przekazać swoim następcom, a potrzebując pomocy i opieki książąt świeckich, nadto szukając w tym odmęcie jakiego takiego porządku i ładu, oddali władzę biskupią, której sami nie mieli, w ich ręce. Skwapliwie pochwycili ją więksi i mniejsi monarchowie i dzierżą ją do tej chwili w charakterze *summorum episcoporum*. Lubo protestanci od dawna usiłowali wydobyć swój kościół z pod świeckich rządów monarchów przez nadanie mu jakiegokolwiek autonomii i niezawisłości, to im się jednak nie udało, a od czasów życia konstytucyjnego stała się ta kwestia dla nich palącą i stanowi do dziś dnia przedmiot sporów i kłótni w jednym i drugim obozie, chociaż logika jak najoczywiściej wykazuje, że tej kwestii nigdy nie rozstrzygną stanowczo, dopóki się na protestanckiej

opierają zasadzie. Śmiesznością bowiem jest, budować organizm katolicki na antykatolickim fundamencie. Już Stahl, jeden z znakomitych prawników i teologów protestanckich (1859) śmiało się przeciw rządóm królewskim w kościele oświadczył: "rządzenie kościołem przez monarchów jest rzeczą w kościele aż do reformacji nieznaną i Ewangelia o takiej władzy kościelnej nic nie wie. Nie należy do świeckiej zwierzchności, sprawować rządy kościoła, piastować powagę, która wszystko w kościele urządza; nie należy do niej przywłaszczać sobie prawa biskupie, pełnomocnictwo władzy rządzenia, złane na Apostołów w owym: *paś owce moje*". Stahl żąda dalej zaprowadzenia systemu episkopalnego z wyjątkiem papieża, aby do jakiejś przynajmniej przyjść powagi. Na to mu słusznie przeciwnicy odpowiedzieli, że obdarłszy propozycje jego z frazeologii protestanckiej, będziemy mieli wykoślawiony Kościół katolicki, lepiej tedy do prawdziwego powrócić, niż mizerne naśladowanie przyjąć. Lecz przypuśćmy, żeby prawowierni byli przyjęli propozycje Stahla i ustanowili biskupów, cóżby na tym byli zyskali? Cóżby miał za znaczenie, za powagę biskup przez nich lub przez rząd ustanowiony? Jakże mu mogą dać to, czego sami nie mają tj. władzę duchowną od Apostołów pochodzącą? Wszakże Fryderyk Wilhelm IV zrobił tę próbę, a na cóż się to przydało? Powaga takiego biskupa, chociażby go wszystkimi godnościami i dostojenstwami obsypali, będzie jednak w rzeczach wiary powagą tylko ludzką, taką samą, jaką mają superintendenci, królewskie konsystorze, najwyższa rada kościelna, ministrowie kultu i sami nawet królowie. Jest to zatem także kołem błędnym, z którego na obranej drodze nigdy nie wyjdą. W sierpniu b. r. kiedy wstępne przygotowania do obchodów Luterskich już były w biegu, odgrzebali prawowierni znowu, a w szczególności "Reichsbote" projekt Stahla o zaprowadzeniu systemu episkopalnego. Upojeni zwodniczą nadzieją, że uroczysty obchód czterowiekowych urodzin Lutra obudzi uśpiony całkiem zapal religijny, którym wsparci zdołają utworzyć jakąś powagę celem ukrócenia niewygodnych i niebezpiecznych zapędów skrajnej swej lewicy. Mniemamy, że już osiągnęli, lub jeszcze osiągną całkiem coś przeciwnego temu, co zamierzali.

Oto stan w najciaśniejszych, jak można, skreślony ramach dzisiejszej prawicy czyli ortodoksji protestanckiej. Grono to nieliczne, silne tylko potęgą materialną, bo stoi u steru, a niepodobieństwem jest, aby *summus episcopus* miał stanąć już dziś po stronie Hartmanna, czyli zupełnej niewiary. Lecz, gdyby się karta miała odwrócić i lewica przyszła do rządów, skurczyłoby się to szczupłe gronko jeszcze bardziej. Ten tedy obozisk wiernych luterskich bez pewnej i stałej podstawy boskiej, bez fundamentu nawet teoretycznego, na którym by się

śmiało mógł oprzeć, wewnętrzną trapiiony niezgodą, która go na rozliczne dzieli stronnictwa i partie, zmuszony liczyć się z najrozmaitszymi względami u góry i na dole, ma skutecznie stawić czoło i wytrzymać atak liczniejszej bez porównania lewicy, opartej na stałych, choć równie fałszywych zasadach, mającej konsekwencję po sobie, nie skrepowanej żadnymi względami, ulubienicy masonii i niesionej na barkach tak zwanej opinii publicznej. To walka dla ortodoksji zbyt nierówna, aby z niej wyjść zwycięsko. Podług naszego zdania wygrana już jest po stronie lewicy. Potężne tylko ramię świeckie podtrzymuje jeszcze tę z gruntu podminowaną, a w spójniach swoich spróchniałą i roztoczoną budowę. "Tryumf państwa, mówi Hartmann, nad katolicyzmem zdmuchnąłby («ortodoksów») tych lichych przeciwników jak pył ze starej księgi" (Tamże, str. 32).

Za długo zatrzymaliśmy się w obozie ortodoksów w stosunku do całości rozprawy. Pochodzi to stąd, że w tym stronnictwie mamy jeszcze znaczne szczątki chrystianizmu, wyniesione niegdyś z Kościoła katolickiego i dotąd nie uronione całkiem. Z tej przyczyny znajdujemy się z nim, iż tak powiem, w jakimkolwiek pokrewieństwie. Mniejsza o to, że z fałszywej wychodząc zasady, mogą tylko mocą sprzeczności niektóre prawdy chrześcijańskie czyli objawione utrzymać, zawsze się jednak do nich przyznają i wspólnie z Kościołem katolickim je wyznają. Po wtóre, to stronnictwo w tej chwili reprezentuje w wszystkich krajach niemieckich, a nawet i dalej "kościół oficjalny", piastuje w swoim ręku władzę kościelną i dlatego ma wpływ przeważny szczególnie w sferach duchowieństwa protestanckiego, bo od niego zawisło obsadzanie posad predykanckich.

Protestantyzm ze zdobyciem i ustaleniem wolności w wszystkich dziedzinach umysłowego życia narodów, dochodzi w swoim rozwoju historycznym do ostatecznych wyników swojej pierwiastkowej i fundamentalnej zasady. Dzieło tak nazwanych reformatorów XVI-go wieku samo się swoją wewnętrzną negacją pożera i pochłania tak, jak każda rewolucja. Dopóki rządy absolutne, a szczególnie protestanckie trzymały tę potęgę negacji w karchach, nie mogła się rozwijać i na widowni świata zupełnie jawnie manifestować; lecz, gdy jej przyszła rewolucja polityczna w pomoc i te pęta policyjne, sięgające aż do tajnik przekonania potargała, pokazała wkrótce czym w zarodzie swym była i czym w rzeczywistości jest. W Prusach z objęciem rządów przez cesarza Wilhelma, w charakterze następcy tronu 1878 podniosło stronnictwo liberalne śmieiej głowę i rozwieliżmożniło się na dobre. W programie dnia 8 listopada

tegoż roku do ministerstwa wydanym dodał im szczególnie ten ustęp otuchy: "W kościele ewangelickim zagnieździła się ortodoksja, zaprzeczyć tego nie możemy, która z jego zasadniczą myślą nie da się pogodzić i w następstwie swym nieuchronnie obłudników rodzi. Ta ortodoksja zbawiennemu wpływowi ewangelickiej unii stoi na przeszkodzie tak, iż rozpadnięcie się jej było niedalekim. Utrzymanie i dalszy jej rozwój jest moją stanowczą wolą i postanowieniem, co nie wyklucza słusznego uwzględnienia wyznaniowego stanowiska, jak to odnoszący się do tego przedmiotu dekret przepisuje. Aby to zadanie spełnić, trzeba troskliwie wybrać odpowiednie organa do jego przeprowadzenia, a po części zmienić. Wszelką obłudę, wszelkie świętoszkowanie, wszelkie używanie spraw kościelnych za środek do celów egoistycznych, należy, o ile tylko można, bez litości odsłonić". To dodało lewicy odwagi i mocy, ta wolność przyspieszyła rozkład tego kościoła ewangelickiego. Dziwnym to zapoznaniem, a raczej nieznaną rzeczą twierdzenie, że Kościół katolicki nie znosi wolności tak, jak protestantyzm, kiedy przeciwnie wszędzie, gdzie tylko Kościół katolicki używa wolności, jak w Stanach Zjednoczonych Ameryki, w Anglii, wzrasta i kwitnie, podczas gdy protestantyzm wypuszczony z pod niewolniczej opieki rządu, rozpada się nie już na kawałki, ale na pył i dobija do najzupełniejszego nihilizmu religijnego. Takie objawy ponawiające się wszędzie i zawsze nie są przypadkowe, ale są w najściślejszym związku z zasadami jednego i drugiego. Kościół katolicki nie znosi swawoli, ale wolność prawdziwa jest jego żywiołem; przez trzy wieki bronił wolności sumienia przeciw starożytnemu pogaństwu, a teraz broni jej przeciw nowożytnemu. Lubo Kościół nie uważa zupełnego rozdziału Kościoła od państwa za stan normalny i słuszy, to jednak przenosi go nad stan niewoli, chociażby nawet złotej. Ileż to razy wnosili w sejmie pruskim katolicy przyciśnieni niewolą ustaw majowych w ciągu "Kulturkampf" o zupełny rozdział Kościoła od państwa, aby z dwojga złego wybrać mniejsze! A cóż im na to rząd, liberały i nieliberały odpowiedzieli? Udarowanie Kościoła katolickiego wolnością byłoby rozbiciem naszego kościoła ewangelickiego, który się wobec niego nie utrzyma. Takie fakty powinny być tym nawet, którzy zasad jednego i drugiego nie znają i tylko obce frazesy powtarzają, oczy otworzyć.

Trzysta lat było potrzeba do roztoczenia dzieła tak nazwanej reformacji. Jest to wprawdzie przeciąg czasu bardzo długi, ale wobec Boga, wobec życia ludzkości niczym. Arianizm też tak długo prawie przetrwał, nim bez śladu zniknął, a później w słabej kopii socynianizmu się pojawił, aby się w nim

rozpłynąć. Przebieg tego rozkładu odbywał się z powodu nacisku rządów protestanckich i nadwornych teologów wolno i w pewnych stadiach. Pierwsze i wszystkie fatalne następstwa zawierające w sobie stadium było oderwanie się czyli apostazja od Kościoła, zaprzeczenie żywej i wiecznej w Kościele obecnej powagi, przez Chrystusa Pana ustanowionej. Z Biblią w rękę protestowali mniemani reformatorowie przeciw nauce i powadze Kościoła i deptali prawidła rozumu. Ortodoksja bez przyrodzonego światła rozumu szalała i parła powagę Biblii do ostateczności, do śmieszności. Każdy wyraz, każde słowo tych ksiąg stało się inspirowane, nietykalne. Ta martwa powaga na martwej także musiała się opierać literze, bo żywego słowa nie było. Lecz wkrótce rozum praw się swoich dopomniął, krytyka dowiodła, że w jednym manuskrypcie są wyrazy takie, a w drugim inne itd. W XVIII-ym wieku zaczyna panowanie swoje rozpościerać płytki i swawolny racjonalizm, obdziera tę jedyną powagę najpierw z cudów, a następnie z charakteru nadprzyrodzonego objawienia i z wszelkiej treści wzniosłych idei religijnych. Ta poziomość i wodnistość ówczesnej egzegezy protestanckiej i opartego na niej kaznodziejstwa oburzyły do żywego samego Schellinga, który w Biblii mniemał znaleźć idee swojej spekulacji filozoficznej. Uniesiony gniewem na tych mizernych teologów porównywał ich z owymi "nieszczęsnymi Dantego, których niebo wyrzuciło, a piekło przyjąć nie chce" (*Vorlesungen über die Methode des akademischen Studium*. Tübingen 1803, s. 21). Nie mniej Hegel nielitościwie w swej "Filozofii religii" zaraz na wstępie odsłania nędzę tego płytkiego racjonalizmu w teologii. Lecz i on nie czyni tego z gorliwości w obronie prawd chrześcijańskich, ale z powodu, że w tajemnicach wiary chrześcijańskiej znajdował ukryte idee swej panteistycznej filozofii. Ta nieracjonalna początkowa hiperortodoksja, jak ją słusznie nazwano, przedzierzgnęła się w hiperracjonalizm najpospolitszy, który ją pozbawił wszelkiej treści chrześcijańskiej i spoczął na czczym i pustym deizmie. Ten ani rozumu ani serca ani wymagań etyki zaspokoić nie był w stanie. Gdy tedy najpierw Schelling, a potem Hegel w swym na pozór idealnym panteizmie mówił, używając terminologii chrześcijańskiej, o Bogu Ojcu, o Synu Bożym, o Duchu Świętym itd., myśleli wszyscy, którzy niedostatecznie z filozofią chrześcijańską obeznani byli, że Hegel prostuje i objaśnia wielkie prawdy chrześcijańskie właśnie, gdy je roztoczył zupełnie i na nihilizmie skończył. Rząd sam łudził się długo i uczniom tej szkoły wszędzie we wszystkich gałęziach administracji, sądownictwa i naukowych zawodów do kariery wrota otwierał. Dopiero, gdy wystąpił uczeń jego, Dawid Strauss i teorie jego panteistyczne zawsze mniej lub więcej ciemne, wiernie zastosował *in concreto* w r. 1835 do

religii w dziele "Żywot Jezusa", przerazili się ci nawet, którzy temu kierunkowi sprzyjali. Są bowiem ludzie, którzy ogólne zasady, teorie, które dla nich mgłą są okryte, przyjmują, ale przed następstwami się wzdragają. Tymczasem logika i myśli i faktów jest nieubłagana. Protest przeciw żywej powadze Boskiej w Kościele doprowadził z żelazną konsekwencją do protestu przeciw martwej powadze Boskiej, a protest przeciw martwej powadze Boskiej, przywiódł do protestu przeciw Chrystusowi, a ten przeciw Bogu. Tak apostazja XVI wieku od Kościoła doszła konsekwentnie do apostazji od chrystianizmu, co więcej, do antychrystianizmu, i do apostazji od Boga – ateizmu; a ostatnim szczeblem tego straszliwego upadku jest nienawiść Boga (*odium Dei*), czego już niezbyt rzadkie mamy dowody. Słusznie zatem jeden z dawniejszych deputowanych Izby poselskiej pruskiej, postępowy protestant prezes sądu apelacyjnego w Opolu, Kirchmann, powiada: "Nieprawdą jest, jeśli kto dzieło Lutra za reformację uważa; mimo jego dobrych intencji nie możemy w nim uznać reformatora, ale raczej *dewastatora wiary i kościoła*... Gdyby (Luter) te następstwa był przewidział, byłyby go z pewnością od spełnienia swego przedsięwzięcia odstraszyły" (1).

Taki jest dziś stan liberalnego czyli właściwego, bo konsekwentnego protestantyzmu. Negacja zakończyła na tym polu swoją pracę, bo już nie pozostało nic do negowania. "Historycznym zadaniem protestantyzmu, mówi na innym miejscu Hartmann (l. c., s. 12), było zaprzeczyć, zburzyć i zniszczyć dogmaty chrześcijańskie". Tego dokazał już na polu teorii i nauki, a w rzeczywistości rozpoczyna dopiero pracę w socjalizmie i komunizmie. Różnice i kierunki są w nim rozmaite, jak w ortodoksji; jedni, nie oglądając się na nic, występują otwarcie, jaskrawo z swoim przekonaniem na jaw, drudzy nieśmiało i trwożliwie, aby jeszcze jako tako wierzących zbytecznie nie zrażać i do uczęszczania do zboru zupełnie nie odstręczać, lub kariery sobie nie tamować; ale w rzeczy samej wszystkie te kierunki i odcienia z jednego pnia wyrastają i ten sam wydać muszą owoc. W naukach i kazaniach posługują się tego rodzaju profesorowie, predykanci itd. terminologią chrześcijańską tak, iż nieświadomych łatwo w błąd wprowadzają, mówią np. o wcieleniu Syna Bożego, a rozumieją przez to odwieczne i nieustanne przechodzenie idei absolutnej w rzeczywistość; mówią o Synu Bożym, a rozumieją przez to każdego śmiertelnika; mówią o nieśmiertelności duszy, a rozumieją przez to rozpląnienie się indywidualnej egzystencji w morzu wszechświata, gdzie wprawdzie nie ginie absolutnie, jak nic nie ginie, ale osobno nie żyje. W ten sposób wyobrażenia czysto pogańskie przybierają w chrześcijańskie szaty. Na

zarzut, że te wyobrażenia oddziela nieprzebyta przepaść od prawd chrześcijańskich, że zatem uroczystości roku chrześcijańskiego w takim systemie nie mają wcale sensu, a następnie nie mogą być obchodzone, odpowiada Lang: "Nie możemyż obchodzić Bożego Narodzenia? Czyż dlatego, żeśmy doszli do poznania, że powieści ewangeliczne o Bożym Narodzeniu są tylko wonnym kwiatem rozgrzanego przez Chrystusa serca pobożnego, wieńczącym fakt tęsknoty całego świata za wyzwoleniem z ucisku i niepokoju, które w religii synostwa Bożego znalazł? Nie możemyż obchodzić więcej Wielkiego Piątku dlatego, że już nie wierzymy w śmierć Boga, który dla prześlągania gniewu swego zstąpił na ziemię i krew swoją przelał?" (Hettinger, *Die "Krisis des Christenthums". Protestantismus und katholische Kirche*, 58 itd.). W tym tonie broni autor dalej stylem kwiecistym swego stanowiska chrześcijańskiego, na tle pogańskim spoczywającego.

Dziwna doprawdy rzecz, że ci apóstaci, ci nowożytni poganie, jakeśmy z przytoczonego miejsca przekonać się mogli, przywłaszczają sobie miano chrześcijan. Już na Straussa, który w swoim wyznaniu: *Stara i nowa wiara*, przed dwunastu laty na pytanie: czy jesteśmy jeszcze chrześcijanami? stanowczo odpowiedział, że "nie", podniesiono krzyk w łonie liberalnego protestantyzmu na tę zniewagę im wyrządzoną. Przykro to zaiste być mogło profesorom teologii ewangelickiej i predykantom czystej i nieskalanej Ewangelii powiedzieć w oczy: nie jesteście wcale chrześcijanami, chociaż nauczycielami religii chrześcijańskiej jesteście. A niewątpliwie tak było już za Straussa, i tak jest dziś. Nie śmieli tej ostatniej i koniecznej konsekwencji wyciągnąć, czy ze wstydu przed samymi sobą, czy przed światem; dość, że stosunek ich do konsekwentniejszych, jak Strauss itp. stał się tym samym, co ortodoksów do nich. Takie połowiczne stanowisko jest na czas dłuższy niepodobnym, a nawet pod pewnym względem nieuczciwym.

Słusznie tedy pyta ich Hartmann: "Jakim prawem liberalni protestanci, krom tego, że rodzice dali ich ochrzcić i konfirmować, śmia się nazywać chrześcijanami? Po wszystkie czasy było i jest wszystkich wyznawców religii chrześcijańskiej wspólnym znamieniem wiara w Chrystusa. W Boga Chrystusowego wierzą żydzi i mahometanie także, a w Chrystusa, jako mądrego, cnotliwego i szczególniejszej miłości Boga godnego proroka wierzą i mahometanie. Gdyby to wystarczało, wierzyć w Chrystusa, jako rozumnego, religijnego, mówcę ludowego, to by mahometanie tak samo, jeśli nie słuszniejsze mieli prawo do nazywania się chrześcijanami. Wiara zatem w

Chrystusa musi być w treściwszym i ściślejszym znaczeniu wziętą, jeśli ma komuś nadać prawo noszenia imienia chrześcijańskiego. Tymczasem z tego, cośmy wyżej powiedzieli, przekonaliśmy się, że liberalni protestanci, nie mogą wierzyć w Chrystusa ani tak, jak w Niego wierzył Luter, ani tak jak Tomasz z Akwinu, ani tak jak Paweł, ani tak jak Piotr, a najmniej tak, jak Jezus sam w siebie jako Chrystusa (Pomazańca, Mesjasza) wierzył. Jakże tedy inaczej wierzą w Niego? Wierzą w Niego jako założyciela religii chrześcijańskiej" (l. c., s. 64 i 65). Dalej dowodzi Hartmann, że taką wiarę w Chrystusa mają i wszyscy niechrześcijanie. Jakoż w rzeczy samej i my wierzymy, że Mahomet był założycielem religii mahometańskiej, a czyż dlatego jesteśmy wyznawcami jego religii?

Ta zatem cała część liberalnego protestantyzmu, która się od dawna wyparła Chrystusa, jako Syna Bożego i Jego nauki, a nie śmie się z katedr teologicznych i ambon nazwać po imieniu, znajduje się w takim samym położeniu nieznośnym, jak stronnictwo ortodoksów i rychlej czy później zostanie parte konsekwencją nieubłaganą ostatnie wyrzec słowo. Z dwóch stron parzone ogniem przez ortodoksów i skrajną lewicę, nie ma żadnego rozumnego wyjścia. Zarzuty z obu stron miotane, że krom nielogiczności dopuszczają się nierzetelności, że w znaczeniach chrześcijańskich podają ludowi naukę wiary i moralności niechrześcijańską, a nawet antychrześcijańską, pogańską, że łudzą frazeologią chrześcijańską siebie i drugich, są tak ugruntowane i słuszne, iż nie masz argumentów ani sofistycznych wybiegów i wykrętów na skuteczne ich odparcie – *impiii in circuitu ambulans*. Bądź co bądź i ta część stronnictwa liberalnego rączo pracuje nad wykorzeniem chryścianizmu.

Taki jest stan obecny protestantyzmu w Niemczech. Zobaczymy później, jak się te stronnictwa zeszeregują w obchodach czterowiekowej rocznicy Lutra. (C. d. n.).

X. Biskup Jan Chryzostom Janiszewski



FESTYNY LUTERSKIE W NIEMCZECH

(Dokończenie)

II.

Wspaniały widok nierównej, a z nieustraszoną odwagą podjętej, z zadziwiającą wytrwałością i z nieznanym dziś poświęceniem toczącej się w "Kulturkampfe" Kościoła katolickiego walki z najpotężniejszym mocarstwem, rozmaite budzi w protestantach uczucia. Jedni nie tają się z wyrazem czci i uszanowania tak dla instytucji jak dla jej członków, bo w czasach cynicznego materializmu któż poświęci mienie, wolność i ojczystą siedzibę dla wiary, dla Boga? Co więcej, gdy widzą, że to czynią i znoszą ci ludzie, których im zakorzenione, z mlekiem matek wyssane uprzedzenia, i nieustannie podsycana nienawiść, wpojone uczucie jakiejś wyższości przedstawiały, jako nieuków ślepej oddanych wierze, zacofańców, zwodzicieli ludu pracujących nad jego ogłupieniem itd. itd., zniewoleni zbyt natarczywie do ich rozumu przemawiającymi faktami, zastanawiają się nad tym, co tych, dotąd wzgardzonych, w taką siłę i moc uzbraja. Z rozpraw, z rozumnej i umiejętnej obrony przekonywają się coraz jaśniej, że po stronie katolickiej nie jest tak ciemno, jak sobie wystawiali, że tam jest wiara, ale nie ślepa, że katolicy umieją i sobie i innym zdać sprawę z tego, w co wierzą. Te spostrzeżenia robią wrażenie, ale mało kto z nimi się odzywa, a jeśli się odezwie, to jeszcze nieśmiało. Lecz to pewna, że przez tę walkę promyk światła sięgnął tak daleko, dokąd by się bez niej nigdy nie był przebił – niepojęte są drogi Opatrzności.

Drugich przejmuje pewna obawa tajemnicza, że w tym ciele Kościoła katolickiego, który od lat dziecinnych zwykli uważać za trupa, czekającego tylko na pogrzebanie, jest jeszcze dusza, jest życie i siła niespożyta, że w nim może być coś szlachetniejszego niż fanatyzm, coś wyższego, niż sztuczny ustrój hierarchiczny przez ludzi wymyślony w celu ich ogłupienia i opanowania. Nie jestże czasem to życie w tym mniemanym trupie siłą prawdy i to prawdy najwyższej? Na taką myśl, na takie pytanie mrowie ich przechodzi i oddalają je od siebie, jako pokusę szatańską. Znajdują się wprawdzie i tacy pomiędzy nimi, których szczerą i dobrą wolę Pan Bóg wynagradzając, rozprasza wątpliwości i otwiera im drogę powrotu, ale są to dotychczas nader rzadkie wyjątki. Bojaźń bowiem, prócz jednej bojaźni Bożej, nie jest dobrym doradcą, przeciwnie zacina

człowieka w błędzie i uporze, wiedzie do nienawiści tego, czego się boi, a nienawiść pcha potem do gwałtu i prześladowania.

Tego rodzaju protestantom, których część największa, potęga Kościoła katolickiego, jaka się w ciągu "Kulturkampfu" przed ich oczyma rozwija, nie dała i nie daje spoczynku. Trapiło ich to i trapi tym dotkliwiej, że "kościół ewangelicki", chociaż ustawami majowymi mimochodem tylko został dotknięty, bo w istocie przeciw niemu nie były wymierzone, omdlał jednak i upadł na siłach. To zestawienie jednego obok drugiego, te różnice jednego od drugiego zbyt były i są widoczne, zbyt jasne, aby każdego nie uderzały. Nie śmiał się ten "kościół ewangelicki" sprzeciwić, nie śmiał stawiać oporu najazdowi państwa; bez boju, bez wytężenia zmałał i osłabł. Na dowód tego przytaczam słowa niepodejznanego świadka, predykanta nadwornego Stöckera: "Kulturkampf złamał nasz kościół ewangelicki i wpłynął nań jak zaraza zabijająco. Z góry rząd i jego urzędnicy, a z dołu masy ludu zarażone antychrześcijańską prasą zapanowały nad nim: z jednej strony Kościół katolicki, a z drugiej propaganda sekciarska za pomocą ustawy o stowarzyszeniach odrywają mu członków... do tego ze wstrętem patrzeć musimy, jak w niektórych kościołach krajowych niewiara dopomina się w kościele tych samych praw, co wiara, i otrzymuje je – jest to stan, który do nieba o pomstę woła. Są to ciemne obrazy, które się przed oczyma naszymi przesuwają, ale oddają wiernie to, co się dziś dzieje. Dziesięć najlepszych i najpiękniejszych lat młodości cesarstwa niemieckiego strawiliśmy na grynderstwie i kulturkampfie, skutkiem tego są straty na polu ekonomii, religii i społeczeństwa, czegoż by w tym czasie nie można było dokazać dla dobra ludu naszego?".

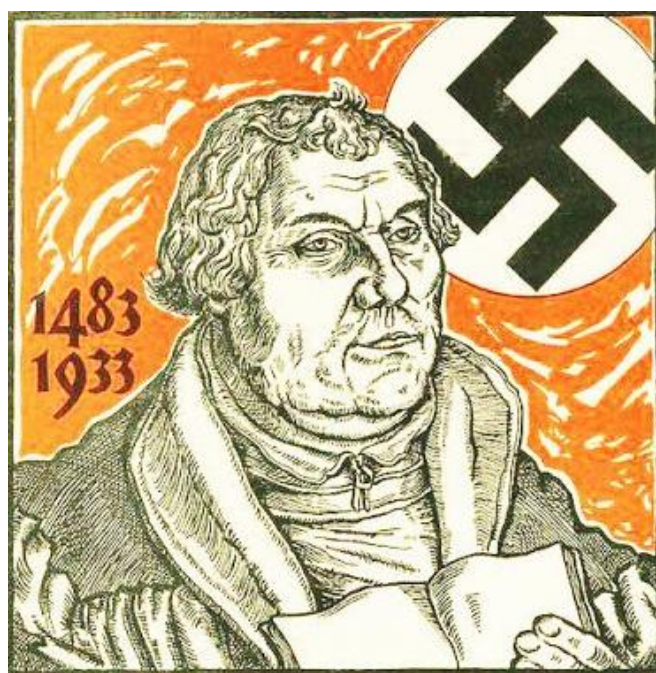
"Zewnętrznie dotknął naturalnie «Kulturkampf» najsrożej Kościół katolicki, tysiąc osieroconych parafii, a w ciągu dziesięciu lat żadnego prawie przybytku. Jest to niemałą rzeczą – ale Kościołowi katolickiemu wynagradza te straty sownie obudzona przez «Kulturkampf», niewidziana dotąd wierność i ofiarność ludu katolickiego, jakimi Kościół swój otoczył. Z tego powodu zdoła Kościół katolicki łatwiej znieść te straty" (*Reichsbote*, 23 maja 1883, Nr 122).

Wierzący protestanci z małymi nader wyjątkami pomagali także kuć kajdany dla Kościoła katolickiego, chociaż wiedzieli, że sami na tym ucierpią – kaleczyli sami siebie, aby tylko Kościołowi katolickiemu więcej dokuczyć, bo byli pewni, że za jeden cios, który na nich spadnie, sto cięższych ugodzi w Kościół katolicki. Trudno sobie wyobrazić wyższy stopień nienawiści. Nie pamiętali, że gdy pień ucierpi, najpierw gałęzie usychają i odpadają. Kto

bowiem Kościół katolicki zaczepia, uderza w samo jądro chrystianizmu. Cóż się tedy w takiej walce stać musiało z jego odłamkami i fragmentami? Tak po czasie zaczynają przychodzić do rozpoznania, że ten bicz, który wspólnie z rządem i liberałami kręcili na Kościół katolicki, ich samych najdotkliwiej wysmagał. Patrząc teraz na majestatyczną wielkość Kościoła w tych zapasach, na objaw nieznaney im wcale potęgi i siły, na powtarzające się co rok w sejmie pruskim zwycięskie utarczki i nieugiętą stałość, w jaką wiara tylko człowieka uzbroić zdoła, a z drugiej strony na własną swoją niemoc, uczeni głębokie, ale nie zbawienne upokorzenie, bo z przymieszką zazdrości, i zapragnęli zaprodukować swoją także siłę i potęgę religijną wobec Kościoła katolickiego. Już w sejmie pruskim odgrażano się od dawna jakąś burzą przeciw katolikom. Poseł Haenel odkazywał się, że zapędy ultramontańskie powściągnięte zostaną, skoro tylko duch protestancki (*das protestantische Bewusstsein*) w ludzie odżyje. Lecz jak i czym poruszyć te, w rzeczach religii całkiem zubożone, masy? Obchód tedy czterowiekowych urodzin Marcina Lutra wydawał się najodpowiedniejszym do tego celu środkiem. Jego osoba mogła podać zręczność do rozbudzenia namiętności religijnych, bo był "reformatorem", założycielem ich "kościół ewangelickiego", nie mniej narodowych, bo go uważają za największego patriotę, za Niemca nad Niemcami (*der Deutsche unter den Deutschen*), a przede wszystkim liberalnych i rewolucyjnych, bo niewątpliwie mało było rewolucjonistów na takie rozmiary, jak on. Wszystkie zatem stronnictwa mogły w nim znaleźć swój ideał i przedmiot czci, każde chciało ten obchód na swoją korzyść wyzyskać. Że to uczucie upokorzenia połączone z zazdrością było, przynajmniej w obozie "ortodoksów", jedną z najgłębszych przyczyn do uorganizowania na wielką skalę tych uroczystości, jako demonstracji przeciw Kościołowi katolickiemu, wykazują to dostatecznie przygotowawcze agitacje w tej myśli rozpoczęte i cały ich przebieg. W przeszłym już roku rozlegał się po całych Niemczech głos wzywający protestantów, aby "się ocknęli i ruszyli przeciw Rzymowi" (*protestantischer Reveille gegen Rom in ganz Deutschland*).

Przedmiot sam, jakkolwiek na pozór zręcznie, w rzeczy samej jednak niefortunnie był wybrany za środek do tak olbrzymiej agitacji. Dawniej może by się to było udało, ale nie w naszych czasach. Jak bowiem nowsze badania historyczne wykazały, Luter nie jest postacią tak idealną, aby ją można całkowicie na widok publiczny wystawić, a odsłaniając połowę lub kawałek człowieka, resztę zaś starannie zakrywając, aby jej oko ludzkie nie dojrzało, można ją narazić na karykaturę. Z pomiędzy tylu herezjarchów, którzy w ciągu

dziewiętnastu wieków przeciw Kościołowi katolickiemu głowę podnosili, nie było, śmiało powiedzieć możemy, ani jednego, któryby nieludzką pychą, gwałtownością gniewu i nienawiści, żarem żądzы cielesnej, wyuzdaną sprośnością i plugastwem języka nie już wyrównał Lutrowi, ale mógł przynajmniej stanąć obok niego. Kto się jakośkolwiek zapoznał z jego pismami, musi przyznać, że żadna charakterystyka nie jest w stanie oddać wiernie rzeczywistości. W naszej literaturze jedyny Orzechowski, gdy swój język swobodnie rozpuści w polemice, zbliży się do niego. Ścisłe badania historyczne bieżącego stulecia obdarły tę postać z dawniejszego uroku, w jakim ją protestanci świata ukazywali. Adolf Menzel, protestant, Riffel, Döllinger i nareszcie Janssen, że tylko znakomitszych wymienię, przedstawili tę postać światu w jej historycznej prawdzie, nie w wymarzonej idealnie. Rezultaty tych badań już się dziś rozpowszechniły nie tylko pomiędzy katolikami, ale w znacznej części także i pomiędzy protestantami – dziś nie śmieją protestanci sami przedstawiać Lutra w postaci opromienionej urokiem świętości. Jakimże tedy ideałem poruszyć uczucia religijne w "kościelach ewangelickich"? Czy ideałem wygórowanej ponad wszelką miarę pychy? Czy ideałem gniewu i nienawiści? Czy ideałem rozhukanej cielesności? Czy ideałem wiary bez dobrych uczynków? Ze wszystkiego pozostał tylko jeden prawdziwy ideał historyczny, a tym jest ideał rewolucjonisty. Mógłże tedy taki ideał poruszyć i ożywić uczucia religijne mas, pociągnąć ku sobie, a przez to ku Bogu, ku Chrystusowi? Kto zatem zyska na tych obchodach, pokaże czas; ale tyle już dziś z łatwością przewidzieć można, że zyskają ci tylko, dla których Luter jest prawdziwym ideałem, tj. liberalne stronnictwo religijne i polityczne.



Cóż tedy pozostało takiego, czym by wskrzesić i ożywić zapał religijny w "kościółce ewangelickim"? Osoba Lutera? Mogła tylko, jakżeśmy wykazali, być ideałem dla lewicy, dla tych, którzy z zaprzeczeniem Bóstwa Chrystusa, otrząsnęli się z wszelkich dogmatów chrześcijańskich; dla "ortodoksów" było to niepodobieństwem. Sami nawet nie wysuwają jego postaci naprzód. W tej mierze powiada "powszechna ewangelicko-luterska gazeta kościelna" (*Allgemeine evangelisch-lutherische Kirchenzeitung*) najskrajniejszy ich organ, w jakim sensie będą te urodziny obchodzić: "Przede wszystkim nie chodzi tu o osobę, ale o rzecz, o poznanie prawdy zbawienia, którą nam przyniósł. Nie wchodzimy w to, czym i jakim był Luter, czy i jakie do reformacji miał prawo, my jesteśmy pewni, że sprawa, której bronił, jest boską; z wykluczeniem wszelkiej wątpliwości mamy pewność, że nauka jego jest prawdą zbawienia; o tym jesteśmy zapewnieni słowem Bożym i własnym doświadczeniem" (Nr 31, 1883). Pozostało tedy tylko to czczone twierdzenie bez żadnych dowodów. Sztandar zatem, godło, pod którym festyny odbywać się mają, które ma uśpione masy ludu przebudzić, opuszczają, a trzymają się tylko jego dzieła. Lecz co się z tym dziełem, z tą nauką "o prawdzie zbawienia" stało, wyłożyliśmy już poprzednio. Ci, co o niej mówią i na nią się odwołują, sami już jej nie wyznają, a przynajmniej nie w całej rozciągłości. Cóż zatem ma być główną treścią tego obchodu? Luter nie, dzieło jego nie, bo go w rzeczy samej już nie masz, a to, co już nie istnieje, co porzucono jako fałsz, jako nieprawdę, nie może być przedmiotem czci i owacji. Z pośród tych ruin i szczątków które tak nazwana reformacja zrzuciła, jedno tylko pozostało nietknięte, nienaruszone, zawsze stare i zawsze nowe, a tym jest Kościół katolicki. Całą tedy treścią tych festynów, obchodów itd. jest, jak logiczna rzeczy konsekwencja sama wskazuje, protestacja przeciw temu, co jest, negacja jego, nienawiść jego. Oto przedmiot tych obchodów! Oto jedyna treść tych uroczystości! Jest to istotnie uwielbienie Kościoła katolickiego nienawiścią protestancką. Jak Polaków Prusacy i Rosjanie nienawidzić przestaną, to będzie dowodem, że nas za nic mają. Wszystko poszło w rozsypkę, ale nienawiść pozostała, bo jeszcze istnieje jej przedmiot, istnieje Kościół katolicki, a sądząc po ludzku tylko, muszą widzieć, że mu się wcale nie ma ku zachodowi, przeciwnie, że olbrzymie walki, jakie toczy, są oczywistym, a dla nich przerażającym dowodem zdrowia i pełni życia, że lubo zewnętrzną postradał okazałość, lubo zewnętrzną świetność, w jaką go świat przybrał, po największej części zdarł znowu z niego, to natomiast, w miarę tych strat ziemskich, wzmógł się na duchu, a zbywszy się tego znikomego ciężaru, raźniejszego nabrał polotu.

Protestantyzm strawił już wszystkie swoje wyznania, wszystkie dogmaty, a nawet i Biblię tak, iż na własnej niwie głód mu dokucza; nie może tedy przenieść na siebie, że nie zdoła strawić Kościoła katolickiego, że mimo ostrego zęba jego krytyki, mimo całego jadu nienawiści, stoi jednak jemu na przekór niewzruszony i wśród pieniającej się złości kroczy odwiecznym, nieomylnym torem. Samo zatem istnienie Kościoła katolickiego, jego odwieczne instytucje, jego zwyczajne i nadzwyczajne objawy życia są dla protestantów prowokacją; kiedy głowa Kościoła odzywa się do wiernych, czy to, aby ich pouczyć, przestrzec i ochronić od panujących błędów i fałszywych opinii, czy to, aby ich zagrzać do modlitwy w ogólności lub w szczególnych wypadkach, zzymają się i krzyczą z całego gardła na "pychę", zuchwalstwo, "żądzę panowania" itp., jak gdyby ich Papież za kark już chwycił i do swej owczarni gwałtem przeprowadzić usiłował, chociaż ich te odezwy, encykliki papieskie wcale nie dotyczą, gdyż są do katolików wydane. Jakim zatem jest duch protestantyzmu w ogólności, takimi też być musiały jego objawy w szczególności, a mianowicie z okoliczności czterowiekowej rocznicy urodzin Lutra.

Jakoż już sam wstęp, same przygotowania do zamierzonych festynów sprawdzają w najściślejszym znaczeniu tego wyrazu nasze zapatrywania co do treści i znaczenia tych uroczystości. Najruchliwsza część protestantyzmu, owo "stowarzyszenie protestanckie" (*Protestantenverein*) przyczyniające się najwięcej do rozkładu i roztoczenia chrystianizmu i jego dogmatów, pierwsze wydało hasło do przygotowania umysłów i agitacji w celu urządzenia tych obchodów. Już w październiku 1882 r. występuje siedmiu predykantów z jego grona w Hamburgu z prelekcjami publicznymi w sali radnej, której na ten cel senat hamburski odstąpił, aby przysposobić grunt do zapowiedzianego "ruszenia się protestantów przeciw Rzymowi" (*protestantischer Reveille gegen Rom*). I tak dnia 31^{go} października 1882 miał pastor Lüdemann prelekcję o *Lutrze i papieżstwie*.

Dnia 14 listopada pastor J. K. Hanne o *rzymsko-katolickiej wierze*.

Dnia 28 listopada pastor Buck o *obrzędach rzymsko-katolickiego Kościoła*.

Dnia 9 stycznia 1883 pastor Cropp o *mnichowstwie, jako ideale życia katolickiego*.

Dnia 23 stycznia pastor Klapp o *Jezuitach w zwierciadle ich historii i moralności*.

Dnia 6 lutego pastor Schoost o *katolickiej propagandzie i jej skutkach*.

Dnia 20 lutego pastor Rode o *papieskiej encyklice i Syllabusie*.

Bez zapoznania się z treścią tych prelekcji któż na pierwszy rzut oka nie widzi, o co tu chodziło przede wszystkim? Jestże choć jedno słowo o ożywieniu obumierającej wiary, o podniesieniu i zagrzeniu uczuć religijnych, o miłości Boga, bliźniego itp.? W czymże się tu manifestuje potęga religijnych przekonań protestanckich? Jest-li w tych prelekcjach choć jeden przedmiot dodatni, któryby budował, a nie rujnował? O samym nawet Lutrze mówić nie mogą bez kontrastu z papieżem. Nie jestże to najoczywistszym dowodem, że tak samo w obchodach jak przygotowaniach i agitacji innej treści nie ma, krom protestacji, negacji i jej rodzonego dziecka, nienawiści do Kościoła katolickiego? Ten spadek dziedziczny odebrały po Lutrze wszystkie stronnictwa protestanckie, tak "ortodoksów" jak liberałów, wierzących i niewierzących, chrześcijan i antychrześcijan i to jest jedynym skarbem tak nazwanej reformacji, który do dziś dnia wiernie przechowały – reszta znikła. Niepojętą, niezrozumiałą wydaje się rzeczą, czcić kogoś nienawiścią drugich, wywyższać i wynosić swego bohatera poniżaniem i spotwarzaniem drugich, a jednak w istocie tak jest. Czyż na kongresach katolików, bo już nie mówię o soborach i konferencjach biskupów, troszczą się katolicy o protestantyzm i jego instytucje? Czyż tam mówią o konsystorzach protestanckich, o organizacji ich "kościół krajowych", o "najwyższej radzie kościelnej", o "najwyższym biskupie kraju" itp.? Czyż w uroczystościach katolickich, jak np. nabożeństwach jubileuszowych, misyjnych, zajmują się katolicy, a mianowicie kaznodzieje przeważnie, a nawet wyłącznie sprawami i instytucjami protestanckimi? Bynajmniej. Mówią o swoich sprawach, o swojej wierze, o cnotach, grzechach, zakładach dobroczynności, o środkach poprawy, o sposobach pomnożenia i podniesienia tego, co dobre, o wzajemnym postępie w doskonałości chrześcijańskiej itp. Ale rzadko i to wtenczas tylko, kiedy konieczność tego wymaga, celem odparcia fałszów i błędów, jeśli się gdzie zakradną, lecz głównym celem jest cześć i chwała Boga, pouczenie lub zbudowanie wiernych. Cóż bowiem protestantów i do tego jeszcze Hamburgczyków może obchodzić papież, z którym ich żaden nie łączy stosunek? Cóż ich mogą obchodzić Jezuici, mnichy, zakony, ćwiczenia duchowne, o których długo i obszernie rozprawiano, obrządki i nabożeństwo katolickie, o których ledwo posłyszeli?

Nie chodziło tu zatem o szerzenie nauki chrześcijańskiej, "czystego słowa Bożego", jak się protestanci lubią wyrażać, bo to głoszą ludzie, którzy się wyparli Bóstwa Chrystusa; nie chodziło o zbudowanie słuchaczy, bo prelegenci uważają moralność chrześcijańską za czysty przesąd, a trzymają się "moralności autonomicznej"; nie chodziło o podniesienie ducha religijnego do jakiegoś wzniesłego ideału, którego wcale nie masz, ale po prostu o wywołanie hecy przeciw katolikom, o zohydzenie głowy Kościoła katolickiego, jego instytucji, obrządków i całego nabożeństwa, jednym słowem o wzniecenie dawnej i od wieków zakorzenionej nienawiści do Kościoła katolickiego, a nadto o podtrzymanie upadającego "Kulturkampfu". Stąd wszystkie prelekcje pełne są wyraźnych, jawnych, a często nieśmiałych i ukrytych wyrzutów, robionych rządowi pruskiemu, że słabnie, w walce ustaje, że się z "antychrystą" (papieżem) wdaje w układy, że przez ustępstwa ultramontanom robione "naraża powagę państwa na szwank"; tudzież "ortodoksom", że dla swej słabej podstawy szukają podpory u "rzymczyków i papistów", "że wolność ludu protestanckiego zaprzędają" itp. dosadne frazesy, których wyliczyć niepodobna. Ostatecznym zaś celem tych deklamacji, z którymi niektórzy z wymienionych pastorów jeździli po innych jeszcze miastach niemieckich, jest wykorzenienie z gruntu prawd i zasad religii chrześcijańskiej. Jedni z nich pojmują dobrze, drudzy zaś czują instynktowo, że właśnie w Kościele katolickim jest pełnia, jądro całego chrystianizmu, że, gdyby im się miało udać "tę warownię" zburzyć, o protestancką ortodoksję troszczyć się nie potrzebują. To jest najgłówniejszym powodem, dla którego wszystkie stronnictwa niewierzące wraz z żydami w pierwszym rzędzie rzucają się na Kościół katolicki, a potem dopiero, i to mimochodem tylko na inne wyznania. Cały "Kulturkampf" tym samym postępował i postępuje trybem.

Aby to, cośmy o treści tych prelekcji powiedzieli, sprawdzić, wypada nam z tego przez trzy wieki nagromadzonego nawału fałszów, błędów, uprzedzeń i przesądów, które wymienieni wyżej pastory swoim słuchaczom za nowy towar sprzedawali, kilka przynajmniej próbek przytoczyć. Wszystko, co już po tysiąc razy było zbite, udowodnione, a nawet przez znakomitych uczonych protestanckich przyznane i odwołane, odgrzebują ci prelegenci, powtarzają jako prawdę niezawodną i niewątpliwą, bo tu chodzi tylko o podburzenie dawnych namiętności i nienawiści w publiczności, która nie jest w stanie twierdzeń szanownych predykantów krytycznie ocenić. Tak zaraz na wstępie pastor Lüdemann oświadczywszy, że na pamiątkę czterowiekowych urodzin Lutra ma być w Spirze wybudowany kościół luterski, określa cel tego dzieła i tych

obchodów pamiątkowych w te słowa: "Dzieło to ma być ponowną protestacją przeciw roszczeniom i zuchwalstwu Rzymu, jakie znowu w naszych okazał czasach; ma być odpowiedzią na dumne ultramontańskie zapowiedzi utrzymujące, że 10 listopada 1883 już lutersko-ewangelickiego kościoła nie będzie (czyż w rzeczy samej tak nie jest?) ma być odpowiedzią na klątwy nieomylnego papieża: ma być odpowiedzią na jego niesłychane orzeczenia potępiające cywilizację i wszystkie idee kierujące postępem naszego stulecia: ma być odpowiedzią na nowoczesny interdikt: ma być odpowiedzią na zuchwałę tryumfy zwycięskie rzymszczyków, którzy toczą bój kościelny z naszym cesarzem ewangelickim" (*Briefe aus Hamburg*, poszyt I, str. 3). Cóż to za szum słów wiatrem nadętych! Budować mają kościół, ale nie na cześć i na chwałę Bogu, nie dla modlitwy wiernych, nie dla pobierania w nim nauki zbawienia, ale przede wszystkim na złość papieżowi, na przekór ultramontanom, na pogwałcenie katolików za to, że w obronie swej wiary poważali się robić opozycję cesarzowi ewangelickiemu. Cóż to za straszne usposobienie duszy! Nawet to dobre, co zamierzają zrobić, chcą uczynić z pobudki nienawiści. Odgrzebawszy potem wszystkie bajki i kłamstwa o Tetzlu, o "jego handlu odpustami" itp., powtarza przy schyłku prelekcji wraz z Lutrem gorące życzenie: "oby Bóg w niebiesiech strącił Stolicę papieską w przepaść piekielną!". A potem dodaje: "Jakżeby Luter był wyskakiwał z radości, gdyby był dożył tego, czegośmy dożyli! Jakżeby się był cieszył, gdyby na głowie protestanckiego, ewangelickiego księcia był ujrzał cesarską koronę niemiecką i miecz potężny w niemieckim ręku cesarza! Jakżeby był wzywał cały naród do walki o wolność ducha, sumienia przeciw rzymskiemu zuchwalstwu! Jakżeby był mieczem ducha swojego karciał tych, którzy chcą być kierownikami i przywódcami kościoła ewangelickiego za to, że się przymilają ultramontanom, i upominał, aby najlepszego i najdroższego dobra, wolności wiary i sumienia ludowi nie marnowali i nie nagięli znowu ich karków pod jarzmo niewoli litery, ludzkich wymysłów i przemocy kapłanów! Jakimże by się gniewem uniósł na tych luteranów, którzy mniemają, że są powołani w kościele do gorliwego walczenia przeciw liberałom" (Tamże, str. 5). I w tych słowach przebija się widocznie łaszenie się przemocy, wyzyskiwanie uczuć narodowych niemieckich przeciw katolikom, niektóre pociski rzucone na "ortodoksów" za to, że kilka razy wspólnie z katolikami głosowali przeciw okrzyczanym ustawom majowym. Tym samym nieledwie tchem, którym gardłował za "wolnością wiary, sumienia", rzuca pociski na "ortodoksów" za to, że się w własnym interesie, i to bardzo nieśmiało, odważyli przyczynić do odzyskania odrobiny wolności religii

dla katolików. Co się musi dziać w takich głowach? Oczywiście, że nie żądają wolności wiary, ale przymuszania wszystkich do niewierzenia w nic. Przytoczone słowa są wprawdzie czerze i puste dla swej nadętości, ale tryskają jadem nienawiści, która w sercach nie przejętych uczuciami chrześcijańskimi łatwo przyjąć się może. Aby katolików, jako bałwochwalców bez myśli i rozumu przedstawić, powiada pastor Lüdemann na innym miejscu, że "katolicy uważają papieża za nadludzką istotę, za *Sanctissimum*". Papież pracuje nad ogłupieniem ludów i dlatego na całą oświatę naszego stulecia rzucił klątwę.

Sama sprawiedliwość wymaga, abyśmy jeszcze jednego przynajmniej z tych siedmiu prelegentów przesłuchali, a mianowicie tego, który mówi o "rzymsko-katolickiej wierze" w ogólności, pastora Hanne. Przed wszystkim zastrzega się prelegent, że nie chce nic mówić przeciw "wierze katolickiej", lecz jedynie przeciw "rzymskiej": "nie przeciw ludowi katolickiemu i jego wierze, mówi dalej, ale przeciw popom, przeciw Rzymowi, przeciw ultramontanom walczyć będę, dopóki tchu we mnie starczy". Delikatna różnica pomiędzy rzymsko-katolicką, a katolicką wiarą egzystuje niewątpliwie tylko w głowie prelegenta samego, chociaż się wobec publiczności zaklina, że tak jest rzeczywiście. Różnicę tę robi, a w wywodach swoich opiera się na dekretach Soboru Trydenckiego, trzymając się sprawozdań Sarpiego. Czyż przebiegły prelegent myślał, że rozróżniając wiarę ludu katolickiego od wiary hierarchii, kapłanów, biskupów i papieża, uda mu się rzucić kość niezgody pomiędzy jednych, a drugich? Czyż cały przebieg "Kulturkampfu" przedrzemał? Czyż nie widział, że inne, potężniejsze od niego siły targają się na ten węzeł, aby go przeciąć, a jednak niczego nie dokazały? Jaki początek, taki przebieg i koniec tej całej prelekcji – wszystko albo całkiem zmyślane albo zamienione w karykaturę. Biorąc za podstawę swoich wycieczek, jakieś już wyżej nadmienili, Sobór Trydencki, mówi o Sakramencie kapłaństwa, o władzy duchownej kapłańskiej, obraca ją w śmieszność i powiada: "Podług Perronego stoi kapłan ponad wszystkimi aniołami, obok samego Boga, a ja bym dodał, właściwie ponad Bogiem, bo kogo kapłan rozgrzeszyć nie chce, tego Bóg ułaskawić nie może: jeśli kapłan chce kogo do piekła wtrącić, to Bóg musi się do tego zastosować" (Tamże, str. 40 itd.). O ofierze Mszy św. najdziwaczniejsze swoim słuchaczom gada duby, wykazuje, że się to sprzeciwia ofierze krzyżowej na Golgocie, jak gdyby sam w siłę tej ofiary wierzył, że katolicy uważają Mszę św. za pewien rodzaj "czarów", których często używają do rzeczy moralnie niedozwolonych itp. W tym samym duchu i trybie mówi o celibacie, a szczególnie o spowiedzi. Jakież tacy słuchacze, którzy książki katolickiej nigdy

do ręki nie wezmą, którzy o nauce Kościoła katolickiego mniej jeszcze wiedzą, niż o własnej swojej religii, muszą z takich prelekcji wynieść wyobrażenie o katolikach, o ich ciemnocie, przesądach, zabobonach itp. Katolik w ich wyobraźni przedstawia się, jako stworzenie najgłupsze, najnędzniejsze, stojące bez miary niżej, niż obecne wykształcenie tego wymaga. Cóż to za nędzne życie katolika, którego pokój duszy, szczęście doczesne i wieczne od dowolności ograniczonego kapłana zawisły. Sama myśl o tych okropnościach budzi w protestancie wstręt, przerażenie i zadziwienie, że takie dzikie i barbarzyńskie wyobrażenia religijne w oświeconym wieku dziewiętnastym wśród Niemców, na czele cywilizacji świata stojących istnieć jeszcze mogą. Czyż w takich okolicznościach nie lepiej, nie pożyteczniej dla samych nawet katolików, aby "Kulturkampf" trwał, aby ich zwolna wyswobodził z tej tyranii i ciemnoty papieskiej. To są w masach naturalne następstwa takich prelekcji czyli raczej deklamacji. Aby słuchaczy w tym przekonaniu utwierdzić, woła pastor Hanne: "Biada nam, gdyby Rzym mógł kiedyś nad nami, heretykami, zapanować!... Jest to urąganiem prawdzie twierdzić, że Kościół nie pragnie krwi, gdyż Kościół broczył we krwi... Bogu chwała, że mamy wolność być heretykami, chcemy także być nimi" (Tamże, str. 43). Te kilka próbek wystarczyłyby do dania czytelnikowi jakiegokolwiek wyobrażenia o duchu nienawiści, ignorancji, i złej wiary tych przygotowań do uroczystych obchodów Luterskich. Lecz, aby czytelnik dokładniej poznał tych, co tak o Kościele katolickim śmiało mówić, tych protestanckich "pasterzy dusz", boć się pastorami nazywają, którzy z ambon protestanckich ogłaszają ludowi "czyste, nieskażone słowo Boże", "czystą Ewangelię", jak ją Luter światu znowu przyniósł, – przytoczymy jeszcze koniec tej właśnie prelekcji, o której była mowa.

"Główny dogmat o Trójcy nie jest chrześcijańskim, ale spoczywa na pogańskiej podstawie. Dogmat o wcieleniu Syna Bożego nie jest chrześcijańskim, ale także pochodzenia pogańskiego. Lecz oba dogmaty są potrzebne, aby na nich ofiarę krzyżową i dogmat o Mszy oprzeć i tak samo ma się z innymi dogmatami rzymskiego Kościoła. Powiedziałbym, że nauka wiary Kościoła rzymskiego składa się z tkaniny, w której nic podłużna jest chrześcijańska, a poprzeczna pogańską i żydowską. Klasztory mnichów są spadkiem dziedzicznym żydowskim. Kapłaństwo, kadzenie, skądże by inąd mogły pochodzić? Pogaństwo także wdziera się do wiary rzymskiej i z tej przyczyny jest przeciwną Ewangelii na wskroś. Dlatego musimy ciągle protestować przeciw tej wierze rzymskiej, którą Sobór Trydencki sformułował: Chrystus nie zna kapłana, sam nigdy kapłanem nie był, być nim nie chciał:

nikomu także nie dał mocy kapłańskiej... Jezus Chrystus nie powiedział: jeśli się chcecie grzechów waszych pozbyć, to idźcie do kapłana... Toć właśnie jest, wielce szanowne zgromadzenie, co walki z Rzymem nie dozwala zakończyć: te pretensje, te bezdenne pretensje kapłanów, to ich mniemanie, że oni jedynie mogą niebo otwierać albo zamykać... Toć jest, co nas niepokoi: pragnęlibyśmy, gdybyśmy mogli i naszych braci, Niemców katolików, uwolnić od przepaści tego panowania kapłanów, którzy jako popy niebem nawet chcą rozporządzać"...

"Skoro tylko protestanci niemieccy poznają, jak wielkim jest to niebezpieczeństwo, że papież nie jest malowanym, natenczas lud niemiecki schwyci za miecz ducha, aby odeprzeć to ujarzmienie ducha, a w owej chwili i ci wszyscy z naszego łona, którzy z Rzymem traktują, owi predykanci nadworni, owi księżęta kościelni, którzy się nie wstydzą podawać Rzymowi rękę do zgody i przymierza, do umarłych policzeni zostaną".

"Spodziewam się, że lud niemiecki już dłużej tej gospodarki w naszym kościele nie ścierpi, spodziewam się, że niezadługo ostatnie resztki tego rzymskiego kwasu, jaki się jeszcze w naszym kościele znajduje, wyrzuci. Precz z wszystkimi tymi dogmatami, które nie są do twarzy czystej Ewangelii, precz z wszystkimi antykwarskimi, a ulubionymi zabytkami, precz z pierwiastkowymi pieśniami i starymi katechizmami, w których okropny język, a jeszcze okropniejsze oddźwięki katolickie! Precz z hierarchicznymi zachciankami, z klątwą i karnością kościelną, precz z wszelkim gadaniem i postępowaniem, w którym się przebija ta myśl, jakoby duchowni byli czymś szczególnym, jakoby mieli szczególniejszą, różną od innych łaskę urzędu".

Oto są ludzie, którzy mają w protestantyzmie obudzić zapal religijny, wskrzesić siłę przekonań protestanckich godną i odpowiednią do stawienia czoła potędze rozbudzonej wiary katolickiej!

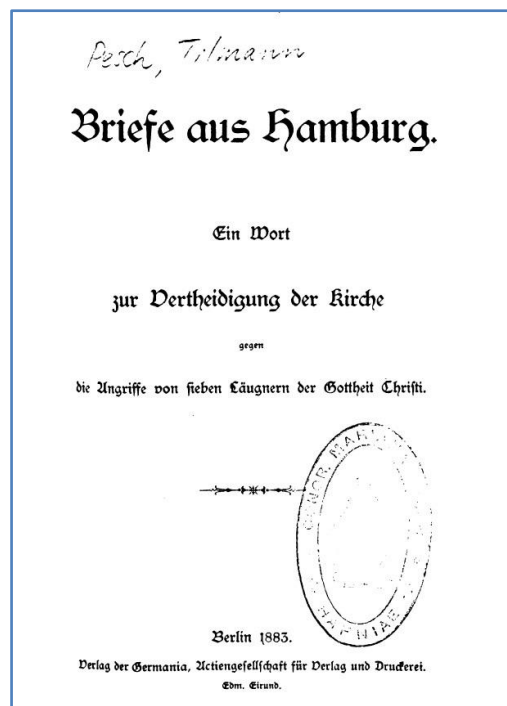
Przypatrzyliśmy się jednemu dopiero stronnictwu, w jakim duchu i usposobieniu zamierza obchodzić pamiątkę urodzin Lutra. Że pała nienawiścią do Kościoła katolickiego, pojmujemy z zasad całkiem antychrześcijańskich, do jakich się jawnie przyznaje. Kto się bowiem wyrzekł wiary w Bóstwo Chrystusa Pana, który jest treścią całej prawie nauki chrześcijańskiej, kto wszystkie prawdy objawione, a z nimi całe nadprzyrodzone objawienie i w ogóle cały świat nadprzyrodzony odrzucił, musi w Kościele katolickim, który cały w swej nauce i budowie na tym właśnie objawieniu, na wierze w Bóstwo Chrystusa Pana spoczywa, widzieć swojego stanowczego i groźnego przeciwnika

podobnie, jak cały świat pogański. Z doświadczenia i całej historii wiemy, że niewiara, czyli zupełna apostazja łatwo się wyradza w nienawiść, że jej fanatyzm, żadnymi wędzidłami wyższymi nie hamowany, jest najstraszniejszym z wszystkich innych. Trudniejszą jest do pojęcia i zrozumienia ta nienawiść w obozie "ortodoksów", którzy wiarę w Trójcę Świętą, Bóstwo Chrystusa Pana i wiele innych dogmatów, które z Kościoła katolickiego wynieśli do dziś dnia przechowują. Ten węzeł wiary, który ich łączy z nami, jest w niektórych indywidualach tak szczery i silny, że poskramia w nich tę nienawiść, to musimy wyznać otwarcie, ale to są dość rzadkie wyjątki, całość przeciętna nie ustępuje w niczym nienawiści liberałów. Wojują z liberałami na zabój, ale, gdy przychodzi zaczepić Kościół katolicki, w tej chwili z nimi się łączą i wspólnymi siłami nań uderzają. To dziedzictwo Lutra spadło na jednych i drugich w równej mierze, to jest dziś jedyny węzeł łączący ich z sobą. Żalą się i skarżą na liberałów, że z urzędu, z ambony podkopują wiarę i przeciw wszystkim dogmatom chrześcijańskim prawią, kiedy niekiedy jednego z tysiąca do odpowiedzialności pociągną, a po jakimś czasie na posadę znowu go przywrócą; ale, gdyby który z nich miał się poważnie nauczać o siedmiu Sakramentach, a szczególnie o Spowiedzi i Mszy św., jednym słowem o wierze katolickiej, jednej godziny nie ścierpiano by go na posadzie. Wszystkie zatem objawy z tej strony tchną taką samą nienawiścią do Kościoła katolickiego, jak z strony liberalnej. Jakoż na konferencji "ortodoksów" w Kamieniu na Pomorzu predykant nadworny Baur oświadczył, iż nadszedł czas, aby znowu odświeżyć jeden z artykułów Szmalkaldzkich, opiewający: "że papież jest rzeczywiście antychrystą", a przy innej okoliczności nie wahał się wypowiedzieć: "że Kościół katolicki bardziej się sprzeciwia chrystianizmowi, niż materializm i komunizm". Gdy w kilku przypadkach stronnictwo konserwatywne, składające się po największej części z "ortodoksów", w własnym interesie z katolikami głosowało, podnieśli podobnie jak w obozie liberalnym krzyk przeciw temu predykanci prowincji nadreńskiej, tudzież stronnictwo konserwatywne tamtejsze, zgromadzone w Barmen, równie jak środkowa partia (*Mittelpartei*) w Halli i w Goslar. Zewsząd odzywały się głosy za dalszym ciemieniem katolików. "Targowanie się z kurią rzymską, mówi jednogłośnie uchwalona rezolucja, zniesienie zasadniczych przepisów ustaw majowych otwiera rzymskiej kontrreformacji drogę do samego serca protestanckich Niemiec". Historia Niemiec od końca piętnastego wieku, Janssen, która obejmuje pierwsze czasy reformacji, na ścisłym badaniu źródeł niektórych dotąd nieznanych oparta, wywarła i w świecie protestanckim wpływ wielki. Wszystkie

niemal znakomitości protestanckie, jak Baumgarten, Ebrard, Kawerau itd. rzuciły się z krytyką na to dzieło, ale znaczenie jego raczej podniosły, niż zmniejszyły. Za inicjatywą Kaweraua utworzono "stowarzyszenie dla historii reformacji" w celu zapobieżenia szerzeniu się szkodliwego wpływu tego dzieła, gdyż sam założyciel tego stowarzyszenia powiada: "i pomiędzy protestantami budzi się niejakić uczucie niepewności; że ruchliwości ultramontanów udało się, sąd o reformacji zamącić i obraz jej historyczny sfalszować". Członkowie tego stowarzyszenia zobowiązują się na polu tej części historii pracować lub tego rodzaju pracę datkami wspierać, aby ludowi w sposób popularny przedstawić osoby i wypadki tego czasu ze stanowiska protestanckiego. Przeciw rzeczy samej nie byłoby nic do nadmienia, gdyby nie duch zaciętości, jaki ją wywołał i w jakim wzywają do brania w nim udziału: "Rzym, wołając stowarzyszeni, uzbroidł się od stóp do głów, aby cios śmiertelny naszemu kościołowi zadać! Zbróćcie się tedy chrześcijanie ewangelickiego wyznania! Nasze stowarzyszenie chce wam broń podać do ręki. Kto miłuje swój kościół ewangelicki, niech do nas przystąpi" (Westermayer, l. c., str. 6). To się działo dnia 13 lutego r. p. Czyż kto słyszał wtenczas o jakich napaściach Rzymu na protestantów? Po cóż puszczać takie strachy? Napadają, zaczepiają sami, a gdy zaczepieni katolicy napaść odeprą, wrzeszczą, że są napadnięci i wzywają do obrony. Czyż to nie jest wyraźnie obliczone na sfanatyzowanie ślepych mas, w które wmawiają, że są w swej wierze zagrożone przez "antychrystę", papieża? Czyż rząd pruski inaczej swój "Kulturkampf" rozpoczynał? Czyż wszystkie urzędowe i półurzędowe dzienniki, karmione i niekarmione "funduszem gadzinowym", nie gadały o napaści Rzymu na cesarstwo niemieckie? Czyż nawet projekty do ustaw majowych nie były tym płonnym strachem motywowane? Tu się na małą skalę ten sam manewr powtarza. Lecz takie wyprowadzenie ludności w pole udaje się zwykle raz tylko, częstsze zaś używanie tej broni tępi ją. Dowodem tego najoczywistszym skargi i narzekania ze wszech stron się powtarzające na obojętność ludu w tej całej sprawie. "I nam, woła jeden z owych zaciekłych predykantów hamburskich, przyszło doczekać się tego, że nasze usiłowania żadnej nie znajdują wziętości, gdyż jednym posuwamy się za daleko, drugim nie dość daleko, a dla trzecich jesteśmy zbyt religijnymi. Do tego trzeba jeszcze dodać obojętność stronnictw liberalnych politycznych w rzeczach religii. Ta obojętność jest w związku z apatią religijną mas ludu" (Westermayer, l. c., str. 89).

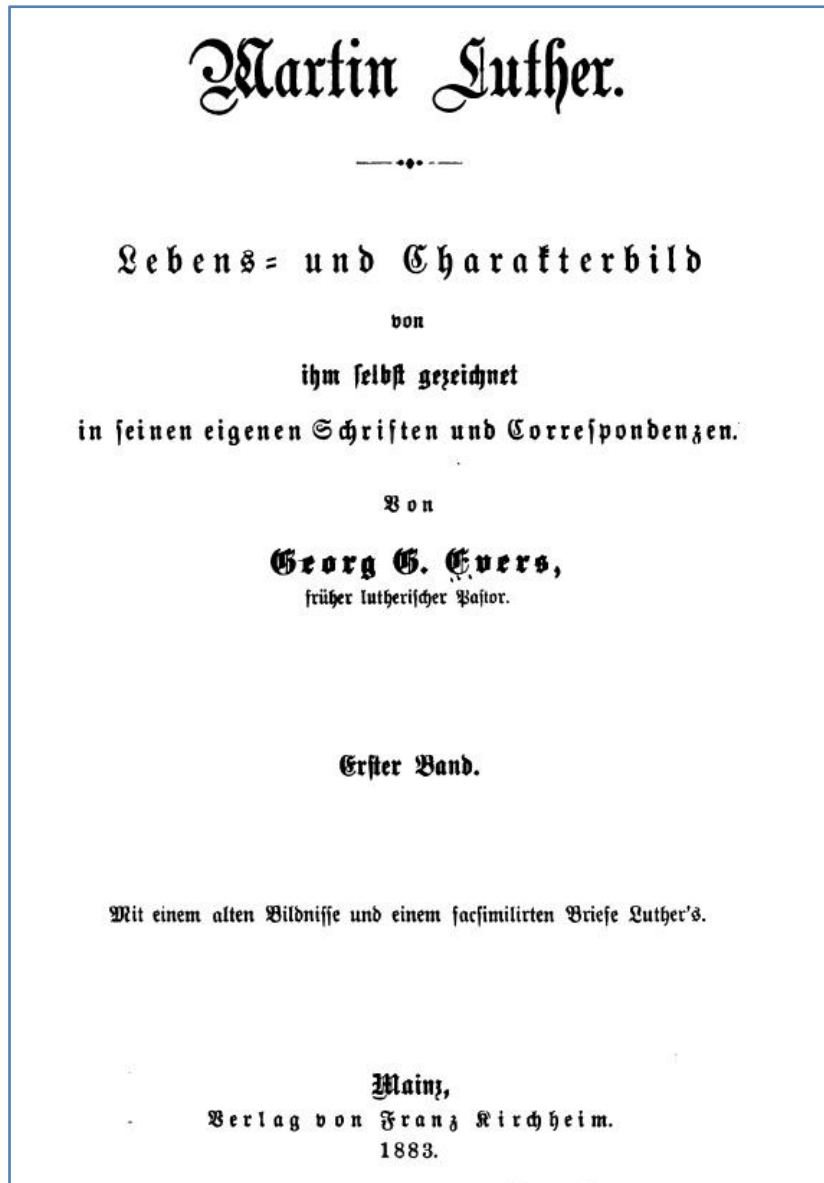
Prócz tych prelekcji, prócz rozlicznych konferencji mianych na wszystkich krańcach Niemiec, udawano się jeszcze do wszystkich magistratów

znaczniejszych miast z prośbą o przeznaczenie z kasy komunalnej pewnej sumy na opędzenie kosztów tych obchodów. Ponieważ ludność tych miast nie jest wyłącznie protestancką, a do kas komunalnych płacą prócz protestantów w równej mierze katolicy i żydzi podatki, przeto i ta okoliczność dała słuszny powód do rozterek i sporów. Tak katolicy bowiem, jak żydzi swoje uroczystości religijne z własnej opędzali zawsze kieszeni, mieli zatem słuszne prawo sprzeciwiać się wydatkom z wspólnego funduszu na cele jednego wyłącznie wyznania. Mimo to wydała jednak komunalna kasa berlińska na pomnik dla Lutra 150.000, a na obchód sam 100.000 marek; ostatnia suma była przeznaczona szczególnie na wydawnictwo popularnie napisanych książeczek o Lutrze i rozdawanie ich dzieciom w szkołach, aby je tym sposobem pomiędzy ludem rozpowszechnić! Podobnie postępowano sobie i w innych miastach tak, iż niewątpliwie miliony takich książeczek rozsypano po całych Niemczech. Pomiedzy rozmaitymi projektami do uczczenia tej rocznicy Lutra pojawiła się propozycja wybudowania kościoła luterskiego w Rzymie, ale wątpimy, czy hojność protestancka na to się zdobędzie. Agitowano jednak we Włoszech w tym zamiarze; Ojciec Święty czuł się nawet spowodowanym o tej agitacji zrobić wzmiankę w swej odpowiedzi danej kolegium kardynalskiemu na życzenia noworoczne. Projekt wybudowania na tę pamiątkę zakładu wychowawczego dla córek pastorów protestanckich rozbił się, jak się zdaje, o opór stronnictw liberalnych, które krzyknęły, że domy pastorów luterskich na prowincji są gniazdami reakcji, nie należy ich przeto popierać. Ile się z tysiąca innych jeszcze projektów tego rodzaju utrzyma, pokaże czas.



Takim agitacjom, co więcej, takim obelgom ze wszech stron na Kościół katolicki, na jego instytucje, nabożeństwo, Sakramenty, jednym słowem na wszystko, co katolikom jest drogie, czcigodne i święte, zuchwale i ustawicznie miotany, nie mogli się katolicy z założonymi rękami obojętnie przypatrywać i milczeć. Spokojne bowiem znoszenie zniewag, obelg, a nawet bluźnierstw zdradzałoby niemoc wobec protestantów i mogłoby zachwiać małodusznych katolików. Odezwały się tedy wszystkie publiczne organa katolickie w obronie tak zjadliwie zaczepionych świętości katolickich, przeciw owym siedmiu pastorom zaczepiającym w Hamburgu wszystkie niemal artykuły wiary katolickiej, wszystkie instytucje Kościoła od Papieża aż do plebana, od wiary w Bóstwo Zbawiciela aż do nabożeństwa publicznego i prywatnego, aż do ćwiczeń duchownych, wystąpił pod imieniem "Gottlieb" znakomity teolog, który w formie listów z Hamburga, umieszczanych w "Germanii" każdą prelekcję tych pastorów ściślej i nielitościwej poddał krytyce, chłoszcząc tak ignorancję, jak zuchwałość sądu o rzeczach, których nie znają. Listy te ograniczają się jedynie na prostym odparciu zarzutów, ale wykładając prawdziwą naukę Kościoła o każdym przedmiocie, przedstawiają czytelnikowi przekręcanie przez przeciwników prawdy i tym sposobem pouczają jednych i drugich. Jak ta obrona przyszła w porę, najlepszym dowodem tego, że wszystkie protestanckie organa tak z lewicy, jak z prawicy rzuciły się na nią z całą zaciętością. Czuli wszyscy, że śmiało, a przy tym gruntowne i jasne wypowiedzenie prawdy wpływ ich złamało. Listy te wyszły potem w osobnej odbitce w dziesięciu poszytach i doczekały się już drugiego wydania. Tytuł ich jest: "Briefe aus Hamburg. Ein Wort zur Vertheidigung der Kirche gegen die Angriffe von sieben Läugnern der Gottheit Christi". Prócz tych listów, które z wielu powodów największy wpływ wywarły, pospieszyli z obroną i inni. Książka pod tytułem: "Kirche oder Protestantismus? Dem deutschen Volke zum vierhundertjährigen Lutherjubiläum gewidmet, von einem deutschen Theologen", która już po raz trzeci wydana została, przyczyniła się wiele do obrony sprawy katolickiej. Jerzy Ewers, nawrócony pastor luterski, wydał w tym samym celu: "Martin Luther, Lebens- und Charakterbild von ihm selbst gezeichnet in seinen eigenen Schriften und Correspondenzen". Antoni Westermayer napisał: "Luther's Werk im Jahre 1883" itd., jednym słowem, katolicy w Niemczech tej burzy się nie ulękli, stanęli śmiało w obronie swego Kościoła i ruchliwością swoją wybuchy te sparaliżowali. Nie dość na tym, że odpierali zaczepki, że wyjaśniali prawdziwą naukę i w jej świetle wytykali błędy, że w Lutrze wykazywali destruktora, nie zaś reformatora Kościoła; nadto postawili przeciw niemu

prawdziwych reformatorów Kościoła w św. Franciszku z Asyżu, w św. Dominiku, w św. Bernardzie aż do św. Ignacego Loyoli, św. Franciszka Ksawerego, św. Karola Boromeusza, w św. Wincentym à Paulo itd. Te uderzające kontrasty, zestawione z wielbionym właśnie "reformatorem", jaśniejsze każdemu dały wyobrażenie o rzeczy, niż uczone i świetne wywody.



Z początku pragnęli niektórzy, aby te uroczystości miały charakter "ekumeniczny" czyli powszechny tj. aby się wszystkie stronnictwa protestanckie połączyły. Ale jakże tej sztuki dokazać, kiedy się ich przekonania różnią? Jedni chcą w nim uczcić "reformatora wiary", drudzy, którzy się z wszelkiej wiary otrząśli, a zatem i przede wszystkim z luterskiej, jako najniekonsekwentniejszej, wielbią w nim tego, który nie wiedząc podkopał wszelką wiarę, a nareszcie inni uszanowali w nim "wielkiego rewolucjonistę", który siebie i swoich zwolenników wyłamał z pod najwyższej, a tym samym wszelkiej powagi. Całe

stronictwo liberalne w Niemczech, które niezmierną w protestantyzmie stanowi większość, w ostatniej myśli obchodziło tę pamiątkę; liberalizm zagraniczny, jak np. "Repb. franç." powiada wyraźnie o Lutrze, "że był sprawcą największej religijnej, politycznej i społecznej rewolucji, jaką świat od początku chrześcijaństwa widział", a włoskie "Diritto", półurzędowy organ ministerialny mówi: "że z nim rozpoczyna się era rewolucji. W sto lat po protestanckiej reformie nastąpiła w koniecznej konsekwencji wielka rewolucja francuska, a potem wszystkie inne ruchy naszego stulecia". "Ortodoksja" słuchać o tym nie chce, ale rzecz sama zbyt wyraźnie tak o sobie świadczy. Dziwna to tedy jedność, w jakiej tę pamiątkę obchodzono, bo się w jej łonie najtwardsze sprzeczności mieściły. Każdy intonował na swą nutę, była więc w tych obchodach harmonia okropna.



Z tą dysharmonią rozpoczęły się także te obchody już 8-go sierpnia r. p. w Erfurcie i zaraz potem bez przerwy w Eisenach. O godzinie 10 przed południem miał predykant nadworny Baur kazanie, w którym słowa Chrystusa Pana: "a ty niekiedy nawróciwszy się, potwierdzaj bracię twoję" (Łk. 22, 32) wypowiedziane do Piotra św. zastosował do Lutra. Swego bohatera,

nazwanego "mężem Bożym", wiedzionym przez ducha Bożego wynosił i wielbił p. Baur w sposób tak przesadny, w jaki żaden kaznodzieja katolicki nie śmiałby słać któregośkolwiek bądź z świętych Pańskich. Prócz innych wycieczek na Kościół katolicki, dostało się szczególnie celibatowi, zakonnikom i zakonnicom, gdy mówił o małżeństwie Lutera z zakonnicą, Katarzyną Bore. O 3-ej po południu urządzono pochód w kostiumach szesnastego wieku od bramy, przez którą niegdyś wjeżdżał Luter, aż do placu Fryderyka Wilhelma. Nie opisujemy tych obchodów, bo je uważamy w tych festynach za rzecz podrzędną i powtarzającą się w ten lub odmienny nieco sposób we wszystkich prawie miastach przeważnie protestanckich, a zwracamy raczej uwagę na ducha i cel, w jakim się odbywały, ten zaś się najwyraźniej manifestował w kazaniach i przemowach mianych przy tej okoliczności. Gdy się pochód na wymienionym wyżej placu, na którym urządzona była trybuna, zatrzymał, wstąpił na nią predykant nadworny, Rogge z Poczdamu i wygłosił, jak wszystkie liberalne dzienniki z pochwałą donosiły, "piorunujące wypowiedzenie wojny Rzymowi". W końcu, zwracając swoją mowę do studentów, wyraża obawę, że się i teraz znowu gromadzą ciemności i pomiędzy innymi powiada: "Dawny, zacięty nieprzyjaciel, podnosi dziś zuchwalej, niż kiedykolwiek głowę. Głośniej i zuchwalej, niż kiedykolwiek przedtem, zapowiadają ultramontańscy przeciwnicy bliski upadek protestantyzmu i rozpadnięcie się kościoła ewangelickiego; śmielej, niż kiedykolwiek szerzą kłamstwa i wierzą im, za pomocą których w owych dniach dziś nam uprzytomnionych na osobę i dzieło Lutera takie same podejrzenia rzucano. Ach! nie brak niestety, i w naszym własnym łonie takich, którzy pod pozorem wspólnej walki przeciw niewierze w połączeniu się z odwiecznymi wrogami protestantyzmu przyszłości i zbawienia ojczyzny szukają". Nie dość, że katolikom dojeżdża, nie mógł na sobie przenieść, aby nie rzucić pocisku i na "ortodoksów" za to, że w kilku przypadkach wspólnie z katolikami głosowali. Takim jadem przeciw katolikom i w kościele i na placu studenci napawani, poszli w nocy powybijać szyby proboszczowi katolickiemu w Erfurcie i jednemu kupcowi katolikowi za to, że na cześć Lutera domów swoich nie przyozdobili. Przy takim ciągłym sianiu nienawiści religijnej, dziwić się można, że więcej i gorszych tego rodzaju ekscesów nie zaszło. W podobnym tonie przemawiał jeszcze profesor Beyschlag z Hali. W tych mówcach reprezentowana jest "ortodoksja" z wydziału unii czyli środka.



Z Erfurtu przeniósł się dalszy ciąg obchodu do Eisenach. Tu w czasie komersu studenckiego przemawiał profesor Lipsius z Kiel, członek "stowarzyszenia protestanckiego", ale należący do umiarkowanej lewicy. Aby przekonać czytelnika, że w tych wszystkich odezwach ten sam duch nienawiści wieje, przytaczamy małe tylko ustępy: "W tym roku, mówi p. Lipsius, mają protestanckie Niemcy czterowiekową rocznicę urodzin naszego Lutra obchodzić. Warto się przeto zapytać, czy ten Luter, który był w Wormacji i w Wartburgu, żyje jeszcze w duchu pomiędzy nami? Dawny, zacięty wróg podnosi znowu głowę; ze wszech stron nacierają znowu nieprzyjaciele na warownię niemieckiego protestantyzmu, a w samej warowni płomień niezgody bucha. Strumieniami krwi okupił lud niemiecki jedność narodową, ale od jedności kościelnej dalsi jesteśmy, niż kiedykolwiek. W tym roku jubileuszowym Lutra tryumfuje Rzym znowu nad cesarstwem niemieckim, na którym ustępstwa po ustępstwach wymógł, a zuchwalstwo jego na tym nie przestaje i coraz nowych domaga się ustępstw. Te trzy mury rzymszczyków, które Luter zburzył, odbudowano na nowo. Znowu mówią, że papieska władza przewyższa świecką władzę; znowu mówią, że nikt inny, tylko papież jest właściwym tłumaczem Pisma św.; znowu mówią, że papież ma władzę nad wszystkimi soborami. Tryumfując, spodziewa się Rzym, że wkrótce ujrzy lud niemiecki u stóp papieża; tryumfując, zapowiada prędko upadek niemieckiego protestantyzmu. A w chwili, w której warownia nasza przez dawnego wroga obleżona, patrzeć musimy na gnuśną i martwą obojętność w masach ludu na świętości naszej religii, a prócz tego na zupełne rozprzężenie ewangelickiego obozu... Rzym

niczego bardziej się nie boi, jak ożywienia ducha luterskiego przez ten jubileusz, dlatego sieje rozterki w obozie ewangelickim, dlatego podnieca i pielęgnuje zachcianki hierarchiczne, które by wolny kościół reformowany zamieniły na mizerną odbitkę Kościoła papieskiego... Nad tym niech się zastanowią ci, którzy nie przestają nakłaniać do zgody z Rzymem, którym żadne pretensje papieża nie wydają się zbyt wysokimi, żadne ustępstwa zbyt drogimi, żadne upokorzenie się przed papieżem zbyt haniebnym" ("Germania", N. 182).

Przytoczone próbki wystarczą do ocenienia ducha i wartości moralnej tych festynów – wszędzie główną i można by bez przesady powiedzieć, jedyną treścią tych obchodów była protestacja, negacja, a w końcu nienawiść Kościoła katolickiego, chrystianizmu. Szczątki nawet wiary katolickiej, jakie się jeszcze przechowały w obozie "ortodoksów" dlatego, że katolicyzm przypominają, równej doznają nienawiści. Wtenczas tylko, kiedy się obróć przeciw Rzymowi, milczą wewnętrzne rozterki i wszyscy zwarci w jeden szereg przeciw niemu biją. Słyszeliśmy głosy z prawicy i z lewicy, z środka i skrajnych skrzydeł, wszędzie ta sama zajadła nienawiść, wszędzie wołanie na rząd, aby w "Kulturkampfe" nie ustępował i katolikom nie folgował. Nie masz przeto ani powodu, ani interesu oprowadzać czytelnika po całych Niemczech, po Wittenberdze, Hannowerze, Hamburgu, Wormacji, Berlinie itd., gdzie się podobne odbywały pochody i wygłaszały mowy. Że nie zbywało na dziwactwach, które by nasze uczucia religijne obrażały, łatwo sobie w tym usposobieniu, jakieśmy wyżej skreślili, wytłumaczyć. W Hannowerze np. rozpoczynało pochod dwóch ludzi w habitach franciszkańskich, w środku szedł wóz naładowany wszelkiego rodzaju pieczywem i trunkami, którymi się idący w procesji krzepili, a na samym końcu zabity wieprz wykarmiony. Nareszcie, jak wszędzie, tak i tu kończyło się wszystko wielkimi ucztami wśród kielichów wina, lub kufli piwa.

W przemowach i toastach nie mniej dziwactw i osobliwości, każdy się bowiem sadził, aby coś mocnego, dosadnego na papieża powiedzieć. Pastor Küntzel z Rosenbach w Śląsku nazwał w mowie swojej przy tej okoliczności mianem papieża "uosobionym szatanem" (*personificirter Satan*). Taki szalony wybuch nienawiści nie jest pomiędzy protestantami rzadki, a zwłaszcza ze strony mało znanego pastora, ale bardziej powinny zadziwiać i oburzać wypowiedziane przy toaście słowa nadwornego predykanta Frommel: "gdyby papież miał żonę, zachwiałoby się jego przekonanie o jego nieomyślności". Te słowa bowiem wyrzekł wymieniony predykant na ucztę danej po skończonej

uroczystości luterańskiej w Islebii (Eisleben), gdzie się znajdował minister kultu Gossler w zastępstwie cesarzowicza, który się wybierał w podróż do Hiszpanii (*Germania*, 262). O małżeństwie w ogóle bardzo wiele mówiono wszędzie, jak np. prof. Sohm z Strassburga oświadczył, "że małżeństwo daje dopiero wychowanie człowiekowi, nieżonaty zatem jest człowiekiem bez wychowania" (*Germania*, 91). O tej samej materii mówił prof. Beyschlag w Berlinie, ale za te wycieczki dostali protestanci najdotkliwsze od katolików cięgi, bo to ich bardzo słaba strona.

Cóż tedy takie obchody, cóż w takim duchu miane kazania i przemowy miałyby luteranizmowi, a w ogóle religii chrześcijańskiej za pożytek przynieść? Czyż negacja i nienawiść Kościoła katolickiego mogła w wierzących protestantach wzmocnić ich wiarę, w słabych pokrzepić, w niedowiarkach ożywić? Czyż to są środki właściwe do podniesienia ducha religijnego? Aby się sąd nasz o tym jubileuszu nie wydawał zbyt surowym lub stronnictwym, przytaczamy z pomiędzy wielu innych zdanie protestanta "ortodoksa" w "Hermansburger Missionsblatt": "Te czterowiekowe obchody powinny niestety być wezwaniem do pokuty za okropną winę niewdzięczności kościoła luterańskiego okazanej Panu, który przez reformację tak wiele mu (kościółowi luterańskiemu) powierzył, a tak mało w nim teraz znajduje; gdyż, ach, iluż to z entuzjazmem obchodzi tę uroczystość, którzy najistotniejszą Lutera naukę, że sama tylko wiara usprawiedliwia człowieka, depcą nogami. Ale znikąd nie usłyszysz głosu pokuty, lecz natomiast wiele pięknych mów, w szynkowniach nawet i na publicznych placach, rozpalone głowy krzyczą, że Luter jest wielkim mężem, że my Niemcy wielkim jesteśmy ludem dlatego, że takiego męża naszym nazwać możemy". Przy tym wypiją wiele piwa i wina i zaśpiewają: "Silną warownię" ("Ein' feste Burg"), bo ta pieśń stała się dla wielu "marseliezą" reformacji. Lecz, skoro uroczystość przeminie, wszystko pójdzie znowu po dawnemu, a nikt z tego mniej nie odniesie korzyści, jak kościół ewangelicko-luterański. (*Germania*, 259).

Podzielamy zupełnie zdanie tego luterańskiego ortodoksa. Już przywódcy wszystkich stronnictw protestanckich, na cośmy wyżej dowody przytoczyli, żalą się na brak udziału, na obojętność mas ludu, jaką w tych szczególnie ruchach okazano; to nie dosyć: jeszcze większą obojętnością zarażona jest ta część ludności protestanckiej, którą "wykształconymi" zowią. Dowodem na to fakt następujący. Przy okoliczności tych festynów liczyli protestanci na

obudzenie entuzjazmu dla osoby Lutra i postanowili wygotować monumentalne wydanie wszystkich dzieł jego. Pastor Dr. Knaake zajął się tą pracą, a cesarz niemiecki znaczną na ten cel przeznaczył sumę. Pierwszy tom już wyszedł w Weimarze. Gdy przyszło do subskrypcji, pokazało się, wołają z oburzeniem "Grenzboten" – "słuchaj i zdumiewaj się, ty ludzie niemiecki" – że dla całych Niemiec zapisano tylko 375 egzemplarzy. Z tych zamówiono 58 egzemplarzy dla książąt panujących, 159 do publicznych bibliotek, a 140 tylko dla prywatnych. Protestancka prasa, a mianowicie konserwatywna, z niewymowną boleścią mówi o tym przedmiocie. W rzeczy samej liczba czytających i zamożność Niemiec, tudzież chwila podniesionego entuzjazmu kazały się większego w tym przedsięwzięciu spodziewać udziału.

Katolicy w Niemczech zachowali się w tych ciężkich chwilach wzorowo. W prasie bronili sprawy Kościoła dzielnie i zwycięsko: w żadnym punkcie nie ustąpili napastnikom, każdy zarzut znalazł odpowiedź, która u katolików większy miała pokup, niż wspaniałe wydanie dzieł Lutra. W czasie samych obchodów zachowali się biernie, ale w niczym swoich przeciwników nie prowokowali. Natomiast O. Franciszek Hattler, T. J., dyrektor apostołstwa modlitwy dla Niemiec i Austrii wydał odezwę do katolików niemieckich polecającą im, aby właśnie w dniach 10-go i 11-go listopada, w których Kościół Boży najwięcej będzie łzony i spotwarzany, modlili się gorąco i błagali Boga o nawrócenie błądzących braci. W niektórych zaś miejscach urządzono w tym samym celu wspólne modlitwy niewinnych dzieci. Wzniosła to prawdziwie zemsta za niezliczone krzywdy i obelgi, jakich w tym czasie doznali!

Co na tych festynach jubileuszowych zyskał protestantyzm, a w szczególności "ortodoksja" protestancka, już nam prawowierny luteranin opowiedział, a jego słowa nie powinny być podejrzane; jedno tylko jeszcze w swej boleści zapomniał dodać, że zamiast zbliżenia stronnictw przeciwnych ku sobie, jubileusz ten jeszcze głębszą pomiędzy nimi wykopał przepaść i niezgodę zaostrzył. Bo przy wszystkich prawie przemowach uroczystych jedno stronnictwo miotało pociski na drugie, a ponieważ w takich utarczkach na placach publicznych i komersach studenckich zwykle płytkie rezonowanie w liberalnym kierunku odnosi zwycięstwo, przeto wątpliwości nie ulega, że festyny w ogóle wzmocniły jeszcze stronnictwo niewiary, antychryścianizmu i rewolucji.



Kościół katolicki nareszcie, przeciw któremu te wszystkie agitacje i festyny były wymierzone, przeżył tę burzę nie tylko szczęśliwie, ale mniemamy, że nie bez pożytku. Katolicy Niemiec doznali wprawdzie w chwilach srożenia się tej burzy wiele krzywd, obelg i przykrości, które znieśli z godnością, ale Kościół wśród i po tej nawałnicy świetniejszym jeszcze otoczony został majestatem. Dziwne zaiste zrządzenie, że w chwili, kiedy się wały tej burzy jeszcze kołysały, najwyższy dostojnik protestantyzmu u Papieża, składa głowie Kościoła katolickiego swoje uszanowanie. Jakiegokolwiek mogły być pobudki, które skłoniły cesarzewicza do odwiedzenia Papieża, w każdym razie będzie ten fakt, który w tym właśnie a nie w innym nastąpił czasie, nadzwyczaj pamiętnym. Lecz pomijając nawet ten szczególny wypadek, sądzimy z tego wszystkiego, co się przed, w czasie i po tych obchodach jubileuszowych działo, że to, co było na osłabienie Kościoła katolickiego w Niemczech obliczone, na jego ostatecznie korzyść wypadnie. Zaczepianie artykułów wiary katolickiej, nabożeństwa, obrządków itd. wywołało gruntowne, a niekiedy świetne odpowiedzi, które by się nigdy tak nie były rozpowszechniły, nigdy takiego nie obudziły interesu, jak właśnie przez taką polemikę. Katolicy zostali przez to w swoich przekonaniach religijnych na nowo utwierdzeni, a miejmy nadzieję, że wielu protestantom dobrej wiary, którzy by się w innym położeniu nad tymi przedmiotami nie byli zastanowili, otworzyła się droga do powrotu. Niepojęte są bowiem zrządzenia Opatrzności! *Spiritus ubi vult spirat.*

X. Biskup Jan Chryzostom Janiszewski (a)

"Przegląd Powszechny", Rok pierwszy. – Tom I. Styczeń, luty, marzec 1884. Kraków. DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI, pod zarządem Jana Gadowskiego. 1884, ss. 68-91; 249-274. (Wydawca i redaktor odpowiedzialny X. M. Morawski T. J.). (b)

(Pisownię i słownictwo nieznacznie uwspółcześniono; ilustracje od red. *Ultra montes*).

Przypisy:

(1) *Die Reform der evangelischen Kirche in Lehre und Verfassung mit Bezug auf die Preussische Synodalordnung vom 20 Januar 1876*. Ein Vortrag. Berlin 1876, s. 29 itd.

(a) Artykuł podpisany pseudonimem: Jan Ostoja.

(b) Por. 1) Bp Jan Chryzostom Janiszewski, [Encyklika Leona XIII Papieża o masonii](#).

2) Ks. Dr Marcei Nowakowski, [Marcin Luter, twórca pseudoreformacji](#).

3) Ks. Rivaux, [Sposób wyrażania się Lutra](#).

4) Ks. Zygmunt Baranowski, [Reformy małżeńskie Lutra](#).

5) O. Jakub Wujek SI, [Postilla catholica... Iż zbory Lutrów, Kalwinów i innych Sektarzów, nie są Kościoły Pana Chrystusowe, ale Bożnice Szatańskie](#).

6) Abp Stanisław Karnkowski Prymas Polski, [O wieczery Zborów Luterskich, Pikardskich, Zwinglianskich, Kalwińskich i Nowochrześcijańskich](#).

7) Konrad von Bolanden, [Luter w drodze do narzeczonej](#).

8) Ks. A. Kraetzig SI, [Janssen i historia reformacji](#).

9) Ks. Jakub Balmes, a) [Fanatyzm i indyferentyzm, ich źródła i następstwa](#). b) [Katolicyzm i protestantyzm w stosunku do cywilizacji europejskiej](#).

10) Ks. Antoni Brzeziński, [Rys dziejów świętego Soboru Trydenckiego](#).

11) O. Jan Jakub Scheffmacher SI, [Katechizm polemiczny czyli Wykład nauk wiary chrześcijańskiej przez zwolenników Lutra, Kalwina i innych z nimi spokrewnionych, zaprzeczanych lub przekształcanych](#).

12) Ks. Adam Kopyciński, [Bezwyznaniowy](#).

13) Ks. Peter Einig, [Usprawiedliwienie \(justificatio\)](#).

14) Św. Teresa od Jezusa, a) [Starania o nawrócenie heretyków](#). b) [Wizja mąk piekielnych](#).

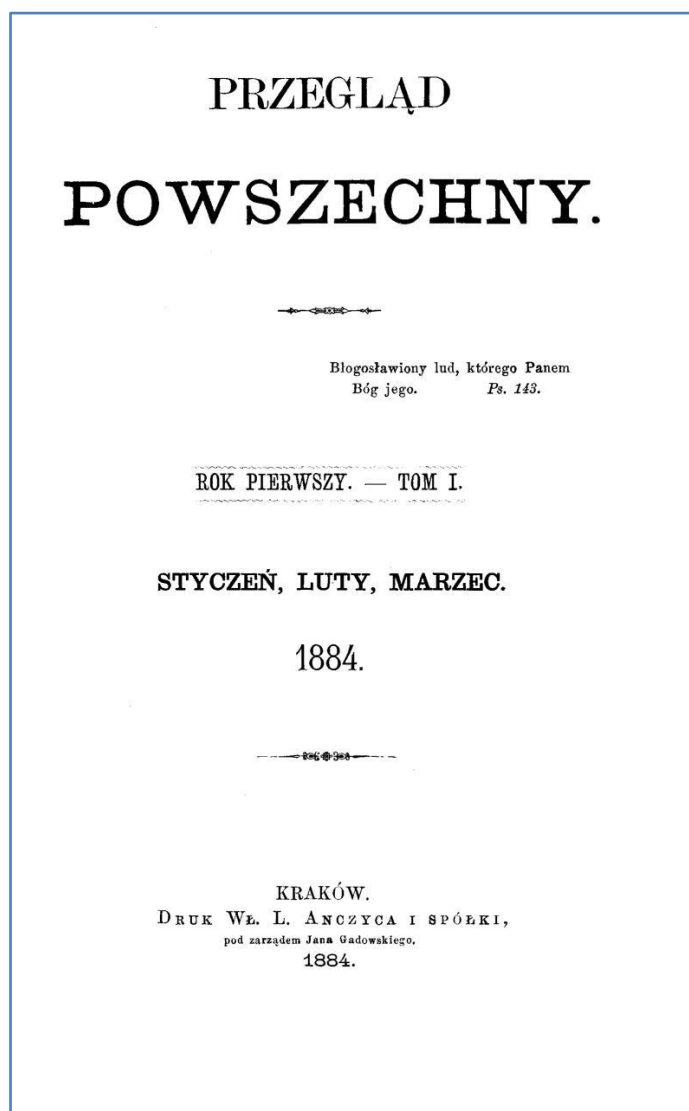
15) Wingolf, [Czemu jestem katolikiem? Kilka słów o modernizmie](#).

16) Ks. Albert Stöckl, [Wyrodzenie się mistycyzmu poza Kościołem](#).

17) Ks. Antoni Chmielowski, [Krótki rys historii kościelnej](#).

18) Ks. Maciej Sieniatycki, a) [Apologetyka czyli dogmatyka fundamentalna](#). b) [Zarys dogmatyki katolickiej](#). c) [System modernistów](#). d) [Modernistyczny Neokościół](#).

- 19) Ks. Augustyn Arndt SI, [Odpusty. Podręcznik dla duchowieństwa i wiernych.](#)
- 20) Kongregacja Św. Inkwizycji, [Wyznanie Wiary dla heretyków przechodzących na łono Kościoła katolickiego.](#)
- 21) "Przegląd Lwowski", ["Apostolska łagodność" Marcina Lutra.](#)
- 22) Emanuel Bułhak, [Dziela św. Dionizego Areopagity, Christianitas, i Formgeschichte.](#)
- 23) Sac. Ioannes Baptista Palma, [De Martino Luthero, et haeresi ab eodem inducta.](#)
- 24) "Non possumus", [Luter – heretycki wieprz z Saksonii i miejsce dla niego przeznaczone... piekło...](#)
- 25) Ks. Prof. Dr Władysław Chotkowski, Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, [Marcin Luter w 400-letnią rocznicę urodzin.](#)
- 26) Ks. Benedict Hughes CMRI, [Marcin Luter. Życie i dziedzictwo arcyheretyka.](#)
- (Przypisy i ilustracje od red. *Ultra montes*).



([HTM](#))

© *Ultra montes* (www.ultramontes.pl)

Cracovia MMXXIII, Kraków 2023